SZTUKA

ZESZYT I

MARZEC 1911

Powróć mi na światło oczu dawną Ondyny postać,
Zanim zamkowe wrzeciądze zawrze za tobą los —
A ja duszę twą zczaruję by tak musiała zostać,
Wokół cyprysy, winograd — na ręku gwiazda i kłos.
Wszystko jest snem,—błyska i mija—i mija —(fale Arna),
Serca jedynie słodki nierozum dowierza lotnym snom;
Tysiąc gwiazd na otchłani wiruje, — jedna-li gwiazda polarna
Swieci stale — archanioł srebrny, co wiedzie wędrowca w dom.

Jeśli wspominasz, może wspominasz mię niemile:
Niewiem. Lecz przyjdzie czas, że ręce spleciesz nagle
Twarz odwracając od tego co jest, — i na chwilę
Inaczej spojrzysz wstecz na łodzi naszej żagle.

Bo jaką spotkałem cię — jasną jak błyskawicę,
Taką i żegnam, blasku nie umniejszywszy nic;
A tylko spojrzenia me goreją — ciemne gromnice —
Kiedy szukają twoich lic.

Taką masz srebrną, daleką twarz,
Taka przy tobie cichość śnieżysta —
„W świetlanej zbroi pełni on straż,
Na hełmie skrzydeł para ognista...“

Podajesz rączkę zimną jak lód
Cóż to za przepaść dusze nam dzieli?

„Przed nim orlice, a zanim wschód,
Gwiazdy zadrżały w niebios topieli.“

Każdy gdzieś dąży, ja rzucam tłum,
Jak ranne w puszczy wlokę się zwierzę —

„Nie wierzę w świata zdradę i szum,
Ale On jeden że przyjdzie, wierzę...“

Umarłem światu, — na moją skroń
Świeci kaganek co tobie płonie —

„We śnie nad ranem wybiegłam doń,
Kwiatem zapachły białe jabłonie.“

Niechże me życie płomieniem tym
Oświeci sen twój, który mię gubi —

„Wszystko to żałość, wszystko to dym...
Widzenia mego strzegą cherubi.“

Rozumiem dzisiaj wiele — ale
od tego rozumienia, serce
zamurowane w ciemnej skale
bije — i miota się w rozterce.

Śniłem tej nocy, że mię koń
błagał o pomoc — koń był ranny
w piersi, już wzrok miał na pół szklanny,

i mówił — ludzkim mówił głosem!
Aż krew mi uderzyła w skroń
i zacierpiałem każdym włosem
nad nim, nad jego ludzkim losem...

Zbudziłem się — i jeszcze w piersi
czułem ten ucisk chytrej doli.
Nie my ostatni i nie pierwsi;
cóż że rozumiem — kiedy boli.

Tutto passa? — Kiedy wicher nadleci z gór rubieży,
Kiedy zmąci obłoków stado i fale skłębi wód,
Długo wzdyma się fal legion, i dalej i dalej bieży,
Długo krzyk morza po nocach — wyje u skalnych wrót.
Cóż że wicher przeszumiał, zmilkł, że odszedł gdzie mu droga,
Że okrętom do lotu leniwym chyżych nie daje piór —
W was to żyje piersi jego miłosny bunt i trwoga
W was o fale przelewne, szumne, rozkołysane w chór.
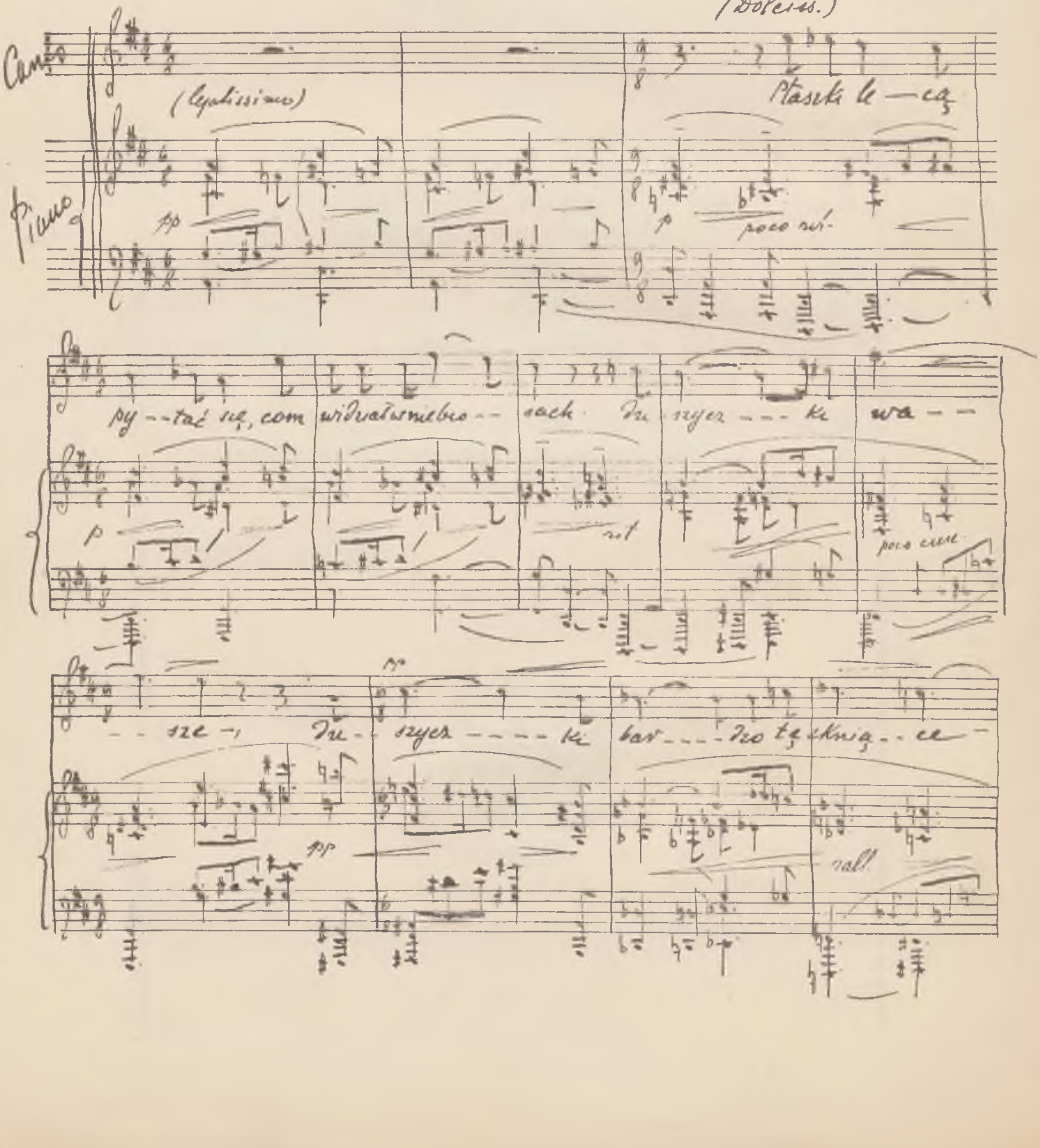
ARTUR GÓRSKI.
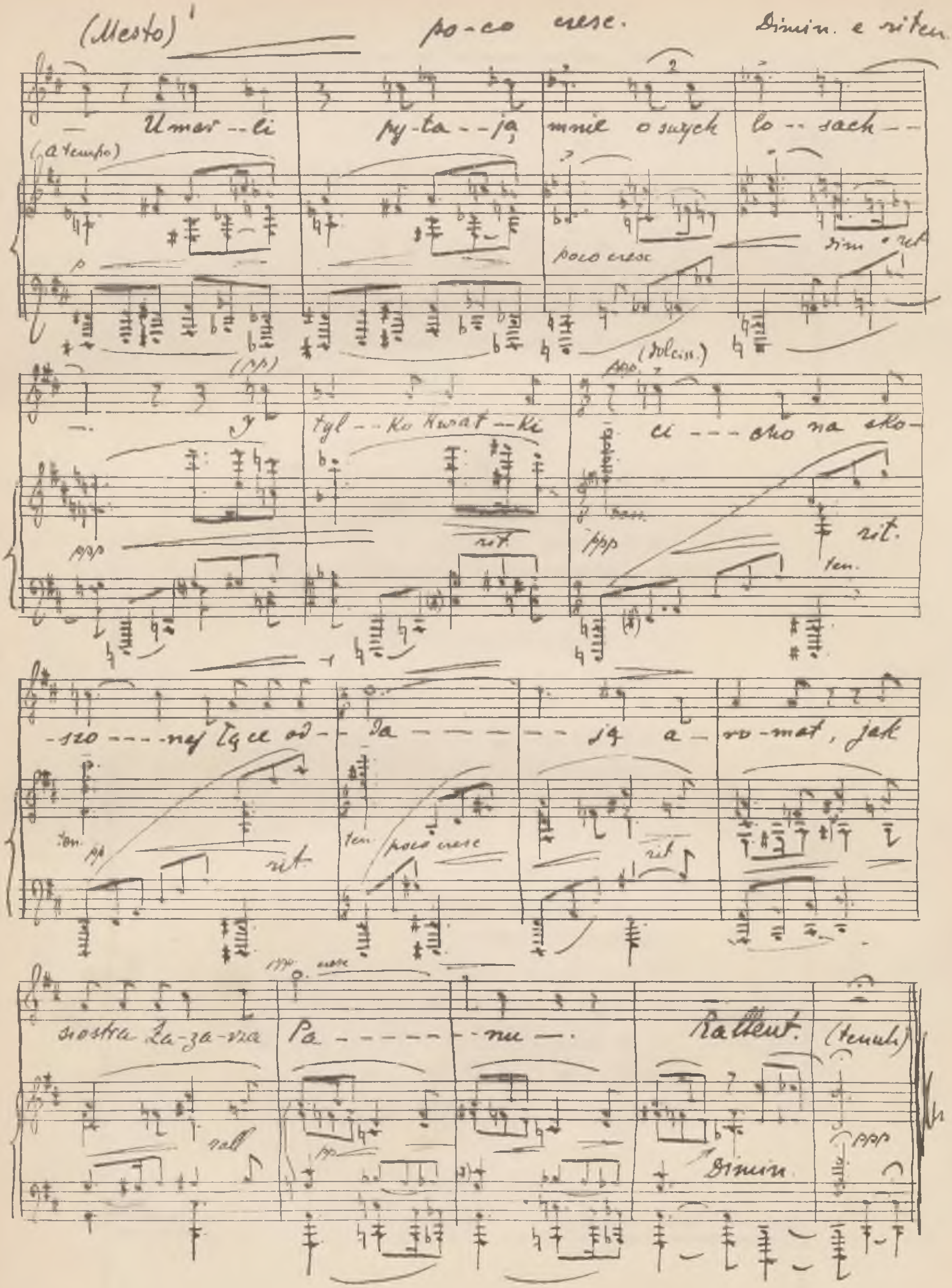


Św. Franciszek mówi:

Tadeusz Miciński
Karol Szymanowski
(op. 20)

Andante dolce e dolce




(Mesto)
poco cresc.
Dimin. e riten.
Umar--li pyta--ją mnie o swych lo--sach
(a tempo)
p
poco cresc
dim. e rit.
(pp)
(dolciss.)
tyl--ko kwiat--ki
ci---cho na sko-
ppp
rit.
ten.
-szo---nej łące od--da------ją a--ro-mat, jak
pp
poco cresc
siostra Ła-za-rza Pa------nu—.
rall.
Rallent.
(tenuto)
Dimin.
ppp

MIRIAMOWI.

O NIEZISZCZALNEM 卐 卐 卐 卐 卐

卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

Gdy w złotokrwawym śnie
prawiekowego bytu wonczas
treść duszy mej odkryła się
przedemną —

jak świeży znagła wiosny brzask
w lodowych snach poczęty —
jak pierwszy dziecka krzyk —
jak smutnych oczu (w tłumie)
mig przelotny:
gwiazd spadających djamenty
w szlak bezpowrotny — —

zabłysłaś mi, o wizjo życia, tak
purpurą łask.

I odtąd
blask ujrzanych na dnie dziwów
mych tęsknot-strzał
i pożądania mego
stał się zadumą —
— o perle śniącej w toni mórz,
— o złotem runie tych obłoków,
co ponademną płyną tuż —
gra echo wizji mojej.

. . . .

. . . .

GINĄCEMU SPOŁECZEŃSTWU

Szum śmierci zwiast. Szum ostry, zły
szelest jesiennych na asfalcie liści.
Dziewczyny blade, anemiczne szły
jak na moczarach opalowe mgły —
kuszące czarem
złych spojrzeń — szły — pijane
smutkiem jesieni.

W rzęs migotliwej koronce
łzy srebrne, łzy - narcyzy
jesieni smutkiem owiane.

Szum ostry, zły. Szum śmierci zwiast:
szelest deptanych liści na asfalcie
turkotem blasków pijanych miast...

W rzęs migotliwej koronce
dalekie, dalekie horyzonty życia —
Brylanty gwiazd, iskrzące się
z tajemnic wszechprzestrzeni
skrycia:
łzy sierot — ptaków wyrzucanych z gniazd.
. . . .

Rozkoszy smutnych ust spragnieni
lutniści — płomienie serc rozpalcie —

W sonetach, w psalmach, w canzonettach chwalcie
„życie“ pijanych bólem miast!
. . . .
W noce jesieni, w blade zimy ranki
śpiewajcie sytym do snu kołysanki.
. . . .

. . . Dziewczyny „zgubione“
(dla uśmiechów słonecznych) —

fjołki podeptane rzucone . . .

Umysły potężne, ofiarne

zapomniane, zagłuszone, zepchnięte
w szlaki opuszczeń cmentarne —

i ramiona bohaterstwa godne
w jarzmo pracy bez jutra wtłoczone,

jak w bezpłodne ugory ziarno płodne — —

Oto twoich, patrz, żniw rezultaty,

patrz — i ciesz się, ginąc — społeczeństwo!
Oto twoich plon siewów bogaty — — —
. . . .

HENRYK JUSZKIEWICZ.





DIALOGI
F. SIEDLECKI

TESTAMENT

I

Bóg Ojciec, który w niebie króluje wysoko,
Powiedział: mścij się, za ząb ząb, oko za oko!
Jeżeli cię twój bliźni uderza, jeżeli
Krew twoją, lub twych krewnych przelał — i ty przelej!

Bóg Ojciec tak powiedział w swojem Piśmie Świętem:
Za miłość oddaj miłość, lecz za wstręt płać wstrętem!
Wszystkie swoje popędy pełń najdoskonalej,
Nie oszczędzaj swych wrogów, chociażby konali.

A gdy, zwycięzki, z wszelkich wyszedłeś niesnasek,
Pojmij żon, ile chcesz, i rozmnóż się, jak piasek.

Niech twój ród, w niezliczone pożeniony parki,
Zaleje wszystką ziemię, do ostatniej szparki.

Niechaj, swych nieprzyjaciół zbryzgany posoką,
Żyje zbożnie: ząb za ząb i oko za oko!

II

Kochaj bliźniego twego, jak samego siebie.
Z pokarmów poprzestawaj na wodzie i chlebie.
Jeśli kto z przeciwników cię, lub przeciwniczek,
Uderzył w prawy, nadstaw lewy mu policzek.

A kiedyś już w tych cnotach dobrze wyćwiczony,
Nie tylko stu, lecz zgoła żadnej nie miej żony.
Chociażby cię wdziękami, nie wiem jak, mamiła,
Żadna ci z uciech ziemskich niech nie będzie miła.

Tak Syn Boży, nim został przebodzon od włóczni
Na krzyżu, na Golgocie, przemawiał do uczni.

Okrucieństwo sędziego, kata i siepacza
Niechaj im — winowajcom — serce twe przebacza!

Bo zło, mszczone, jak morski piasek się rozmnoży.
Więc nie mścijcie! Przebaczcie!... Tak mówił Syn Boży.

III

Ach, tu może się dusza chwiejna zastanowi:
Czy Ojcu być posłusznym, Bogu, czy Synowi?
Które z tych dwojga pełnić trzeba przykazanie,
Aby życia ten padół przebyć niezmazanie?

Czy to najczcigodniejsza wskazana mi droga,
Jeżeli mściwy nóż swój w krwi ubroczę wroga?
Lecz jeśli jemu toczyć pozwolę krew ze mnie,
To on mój wróg, na świecie będzie żył nikczemnie.

Kiedyż ustaną bliźnich o zemstę wołania?
Kiedyż się lwich pazurów nie ulęknie łania?

Kiedyż nie będzie w ludziach wzajemnej wrogości?
Kiedyż w sercach przebaczeń cnota się rozgości?

Zaprawdę, tych dni szczęsnych zakwitnie otucha,
Gdy otworzą testament trzeci: Króla Ducha.

JAN LEMAŃSKI.

SIDI-NUMAN

Słynny w całym Bagdadzie z rycerskiej ogłady
I z płomiennej miłości dla białej Aminy,
Sidi-Numan przeklina szczęk owej godziny,
Kiedy nazwał małżonką — ciało, pełne zdrady!

Sniąc zemstę w głębi alej, wśród róż i motyli,
Wahał się, by nie była czcza i byle jaka, —
Aż zaklęciem, w odwetów wyszeptanem chwili,
Przeobraził niewierną — w białego rumaka!

Stanął rumak, nie świadom cudu nagłych wcieleń,
Oczy, we łbie nabrzmiałe, natężył, jak pięście,
Dziwiąc się i dąsając, że soczysta zieleń
Nęci go w smakowitym wietrzyka pochrzęście...

Pełen żądz niespodzianych i nagłych rozjuszeń
Krwi szkarłatnej, co w żyłach samochcąc szeleści,
Próbował nowych skoków, pląsów i poruszeń,
Jawiąc w skokach i pląsach — dawny czar niewieści...

Sidi-Numan go przybrał w uprząż złotowzorą,
Zlewał na wrzące ciało — balsamy i nardy,
I pozierał z uśmiechem zwycięskiej pogardy
Na ogon zbyt opędny i na kopyt czworo...

Badał grzywę — twór zaklęć i tajemnych przyczyn,
I zęby, zgodne perły na dziąseł purpurze,

I, karmiąc zwierzę miodem dojrzałych koniczyn,
Czasem — w tkliwej zadumie podawał mu — róże...

Gdy słońce, roztopione w południa bezszumy,
Cisnęło na pierś ziemi cały żar wszechświata,
Sidi-Numan podeptał resztki swej zadumy,
Zaśmiał się, krzyknął: „Allah“—i dosiadł bachmata!..

Widział go cały Bagdad, jak, zicjąc zniszczeniem,
Pędził, pełen tygrysich złości i rozścierwień,
Jak zatapiał ostrogi w ran chrapliwą czerwień
I zgrozę chłost oślepłych — podwajał milczeniem!

W oczach, lotem obłędnych, schwytane przedmioty,
Jak w lustrze wirującem, mąciły odbicie:
Drzewa, ptaki, jeziora i miłość i życie —
Wszystko w nic się zemgliło, w kurz zaledwo złoty!

W tym kurzu, gdzie się wspomnień złociła czereda,
Ryczał zwierz, nowym bytom na pastwę oddany!
A jeździec chłonął rozkosz zemsty dokonanej
I doznawał upojeń, jakich miłość nie da!...

BOLESŁAW LEŚMIAN.



NARODZINY DIONIZOSA
ZDZISŁAW EICHLER



CHRYSTUS
HENRYK GROMBECKI

ZALOTY

GAWOT

W krynolinie zakochały się dwie szpady.
Na stali blask migoce, drży — —
Ciekawy księżyc wyszedł na zwiady —
i każdy listek drży — —

W stawie, gdzie po nocy łabędź kąpie pióra,
pływa strącony wianek róż — —
Jedna tylko szyba świeci się ponura,
gdzie ogień blasku róż — —

Jakże się sypią iskry ze szpady! iskry krwawe!
Księżyc nie czuwa, księżyc śni — —
Tylko patrzą łabędzie ciekawe:
krynolina nad stawem śni — —

JEJ WŁOS

W pustym sadzie szeleszczą jesienne liście.
Płomień oczu zapada się w zmierzch.
Jedwabnych puchów wiszą kiście:
to z nieba sypie się zmierzch — —

Czarne skrzydło tuli się do bladych kamieni.
Na krawędzi drży bronzowy włos — —
Odeszłaś tam, gdzie drzwi z czerwieni:
jeszcze wije się bronzowy włos — —

W kryształowych kielichach gwiazd jest wino.
(Niebacznie zostawiona nić!)
Opuszczony sad zatęsknił za dziewczyną — —
(Niebacznie zostawiona nić!).

SPEŁZŁE ZWIERCIADŁO 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

W zwierciadle widzę Cię złotą i błękitną?
Lodowych zamków sen —
Kiedy powrócę, lilje przekwitną?
W zwierciadle kocha się sen. —

Nie byłaś nigdy — — To zwierciadło kłamie!
Na wieki ukochasz czar —
Złocisty warkocz spadł ci na ramię — —
Na wieki ukochasz czar —

Spełznie zwierciadło, czas srebro zmywa — —
Uwierzysz w kłamny sen —
Całaś w otchłaniach oczu — — jak żywa!
— Już wierzysz w kłamny sen. —

PANTOFELEK Z DREWNA 卐 卐 卐 卐 卐 卐

W salonie, gdzie plusze i złocenia,
płynie pantofelek z drewna —
W pałacu jest sama królewna:
cichutko depcze serc zwierzenia. —

Loki ma spięte w kształt korony:
woskowa lalka w krynolinie —
.... Jak rybka pantofelek płynie,
falują tiule i welony. —

Idąc, kołysze z wdziękiem boki,
twarz jej raz chłodna, znowu rzewna —
.... W dywanach cicho gasną kroki
i płynie pantofelek z drewna. —

Na lokach puder błyszczy złoty,
w rytm kroków ramię błyśnie, ginie —
.... Śniąc przetańczone już gawoty,
jak rybka pantofelek płynie. — —

MIASTO W ŚREDNIOWIECZU

(Tłumu gwar. Wązkie uliczki i bezwstyd mrowiska.
Szaruga jesieni pośród brudnych studni
domów, które jaknajduszniej i najnudniej
pożądanie sąsiedztwa zamknęło w koliska).

L U D:

Dawno nie wychodził z mieszkania, a kiedy przez ulice
przejdzie, to oczy — podejrzane, spłoszone,
w nich smutki zgniłe, rozpusty wysłannice
i — żelazną dłonią Boga klątwy wypalone — —
Milczy: wróg ludzkiego plemienia.
Myśli: odstępca świętych praw społeczeństwa.
Zamyka się... a tacy, godni potępienia.
Ucieka!! — od żelaznej dłoni naszego przekleństwa.

(Srebrne włosy na pluszach zmierzchu i jesieni.
Obnażonych gałęzi modły pokutnicze.
Chłód pozorny spojrzenia, a otchłań się pieni
żarem bólu i śmiechu. Spalone oblicze).

ALCHEMIK:

Słyszę duchy minione w szarugi szlochaniach — —
Jego prawda nie boi się śmierci ogniska.
Duszę samotną zamknął w gwiezdne słów igrzyska,
aby za mnie odnowił się łańcuch... w spotkaniach.
Dłoń moją wypieściłem czekaniem przez wieki.
Dłoń dla niego: przyjaciel z tej wielkiej rodziny,
która czystą miłością, jak zdławione rzeki
wije się przez podziemia, wyższa po nad czyny....
. . . .
Tłumu gwar?... Odchodzący jestem dla tych ramion:
zbyt śpieszne, żądne zgorszeń, niecierpliwe.
Sam jestem. Przyszła jesień pełna znamion;
wiem, co znaczą.... Dumne serce, bądź szczęśliwe.

(Jesień stąpa w takt jego dumań: marzenia kołysze,
zapala światła różane... świątyń, Oliwnych sadów,
stawia przed nim kielich wina z cudnych jadów
i jak jedwab rozsnuwa nad nim nocną ciszę — —

Tłumu gwar: spienione żądze zemstę warzą,
ostrzą sztylety sumienia, że mury przenika —
a on tam — jak harfa z obłąkaną twarzą:
w cieniu lśni białe, wysokie czoło alchemika).

JAN RUNDBAKEN.



JANUSZ NAWROCZYŃSKI

NAPÓJ TRUJĄCY

CIEŃ TYLKO

O gwiazdy, tęsknię.... milczenia nauczcie
serce bijące, albo niechaj tłucze
o drzwi zaparte połamane klucze,
niby kryształy przy samotnej uczcie.

Nikt tu nie przyjdzie, furty nie otworzy
i nie pozdrowi, przystając w księżycu...
Hej lipy pachną... Niebieski szlachcicu
zejdź: tak samemu pić smutek najgorzej.

Ona? Ja nie wiem, czy ona powróci,
choć przychodziła tu myślą kochaną....
Mocne to wino smęt. Rano, ach rano
zbudzi mię we drzwiach pustych świt koguci.

Ty łbie golony, księżycowy panie
racz się... uraczmy się sobą nawzajem.
Głupstwo z tym szczęściem: ślepe jest, przedajem...
Słuchaj, czy ona już nie wspomni na nie?

Siarczyste wino — uh, jakże mię pali...
Co, co ty pleciesz... jaki ślub, z kim bracie?
Mnie osądzono z ludźmi w celibacie...
bydełko pańskie precz! — Ty smutku szalej —

Hejże, a nie szczędź srebrzystego gardła,
moje na węgiel — mój stary — spojone.
Te moje skrypta — pytasz? — wzwyczajone,
że na nie znikąd myśl ludzka nie padła.

ZMAGANIE SIĘ

Tęskno — jakże mi tęskno! U proga
domu płaszcz się zamotał księżycowy...
ha — ha — marzyłem, że twarz droga
biegnie z najdroższemi słowy.

W oknach szeptały tuberozy,
trącając szyby, jak motyle...
myślałem — ah, myślałem, że śród nocnej grozy
na szkle twe ręce zadrżały przez chwilę.

I podźwignąwszy się z łoża,
czułem na ustach pianę —
Ah rzucić do szalonego morza
serce — me serce tęsknotą pijane!

Jest uroczysta, jak wiosenna chwila,
kiedy nad tobą w samotności trwodze
czyjaś przywiana dusza się pochyla —
jabłoń kwitnąca na odludnej drodze...

I niby kwiecie bieluchne jabłoni,
bierzesz całunek, co jak we śnie rzutny,
aż z jakiejś cudnej, niewidzialnej dłoni
łańcuch cię zdławi — niewolniku smutny.

ZYGMUNT ZENON IDZIKOWSKI.



ROZMOWA

OBRAZ Raz jeszcze westchnęło południe i powlokło się sennym krokiem do zachodu rzucając po dolinach coraz dłuższe ręce swoje. Zaś cienie ruin wyszły z nisz oplecionych, z wądołów i stron północnych i obsiadły gromadnie płynące źródełka.

Inaczej zwinęły się drogi do miast. Lasy zwalczyły szafir pobladłym ogniem żelaza i cofnęły się polanami wgłąb, — ku rozmowom.

Na horyzoncie pojawiły się ciężkie konie, ciągnące wolno wóz obłoku...

I z jednej malutkiej zwiędłej miłości, z ciemnego źdźbła niezapominajki, które uleciałoby za wiatrem od dłoni ku górze wzniesionej, — wyszło smutne dumanie śpiewów górnych, wyszła melancholja, siwa jak mech na traw płaskości i rozłożyła spróchniały namiocik pod drzewkiem dębowem......

WEZWANIE Przybądź przyjacielu mój w ową porę wonności przepadłych. — Czas schodzi ku wieczorowi po stopniach szklanych, napełnia się powietrze tęczowemi kulami żałosnej radości.

ON Siedziałem nad rzeką pełną połyskliwej wody. Rozgina tam wiatr wikliny miękkie, w pyle trzcin migają twarze starych bogów.

JA Smutne są moje oczy tak pełne przestrzeni, — ogrzana cichość ta, — rosną

przezemnie mocne nitki pożegnania, końce ich unoszą się nad ziemią, daleko powiewają w powietrzu.

ON Przypomnij sobie wielki smutek serca, niemoc dokonania tego co szczęśliwością ci się zwidziało.

JA Pamiętam i widzę: owo oczyściłem w szaleństwie kształty wszelkie, dałem im pęd duchów, aż zaroiły się sfery powietrzne od poczwar skrzydlatych, a ja, zakrywszy oczy odszedłem z tobą na drogę pielgrzymstwa.

ON Nie to był błąd twój, w młodzieńczości sądziłeś piękna ogromne, — szalała ci głowa w wielkiej radości.

JA Ojczyznę moją widziałem jako piękno niezaprzeczone, płakałem nad garstką pyłu w szczelinie ziemi, kochałem stare melodje przy których się marzy boleśnie.

ON Nie był to błąd twój, wszakże wszystko powraca, — ziemia i wody pełne są powrotu. Tylko nowe słowo podstępnie tworzy bohaterów, nowy prąd tej samej wody przenosi kontury i tak oszukuje się ziemia.

JA Wielkich proroków widziałem w oddali, kładli oni głowy w paszcze lwie, — paszcze zwierząt myślących tylko o łupie. A teraz oto zgubione w wodzie dalekie płaczą chorały, dziwują się im brzegi płaskiego piasku.

ON Coś pamiętał niegdyś, przypomnij sobie, odetchnij dawną godziną, jakby wychylony z okna barki starej, która pod miastem stoi czekając na tragarzy, a woda płynie i błyska.

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Oddycham starą godziną, kuszącą jest zaiste jej historja, widzę przed sobą trwogi nieznajome, podaję się wtył jak chmura nizka, chwała, kiedyś umarła, raz jeszcze śpiewa.

ON 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Co widzisz powiedz mnie, który w tobie obracam nadzieje.

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Widzę, widzę okno potęgi, kuźnie tryskające winem płomieni, chwałę granic strażowanych bujnie, pochód ku czerwonym księżycom i pienistym wodom. Aż póki belki wrosną w powałę i osiądzie kamień, a wywonieje modrzew, ciosany na chwałę rodu i moc daleką. — I łaszą się wszystkie sprzęty w domie jako psy wierne, radośnie przyjmują ciężary, zawory same skaczą jako straże czujne, kolebka śpiewa, chwiejąc szerokie objęcia.

ON 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Kolebka w którą zrodzonyś był palladynie mój wysoki!.....

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 I owo rozwiera się okno: widzę daleko chorągwie krwi i rodu, wspinające się na żelazne pagórki, w obcej mowie i poświście giętkiego oręża, we wrzasku trąb u których chwieją się wstęgi zdobne kwiatami królów. — Tęsknota dusi gardło, zdobycz zalewa mózg, słońce nie lśni inaczej jak na metalu.

ON 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Gorące słońce południ, które oto bez szemrania ku siwym popiołom się kłoni.

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 A później, z mocy cichej, pierwsze rozłamania potoku, morza i wonne skrzynie skarbów, już tęsknotą gwiazd przepojonych, albo domostwa zwisłe w uliczce krytej i drzewko w ogniach radosnych, a znowu obce pieśni i zbożne powolne psalmy.

ON Spominają cię ojce i bracia, — ów z tęsknością dobrotliwą, prosząc obrócenia ducha zbłąkanego w cichość wigilijną do jednego stołu i grobu.

JA Płaczą smutki i dzieci, ale nikt nie czuje wygnańca, jeno duch odwieczny wgląda do izby, siada na progu, — opatrując flet czarodziejski......

ON Co widzisz przed sobą przemów, zda się, że mogę kazać głosowi twemu!.....

JA Widzę jako rodzi się uśmiech na twarzy twojej, poznałem moją trwogę, oto rzucam się naprzód i ginie ona, — rozwija się w drogę daleką i pustą.

ON Złamana próba moja, ale oto dziecięctwo zgubiłeś, — miłość dobrą a prostą, igrającą z promykami w tem popołudniu. Widzę tylko straszydło rycerne, człeka o skrwawionej stopie, z obłąkaniem oczu surowych.

JA Nie poznałeś stroju mego, niosę na piersi dziecię, na imię mu Jezus mój, żadna wiara go niezna, niosę go do łąk błogosławionych.

ON Jeszcze raz zwalczyłeś mnie, nie ujęła się tęskność przedwieczorna, a owo dymić zaczynają miejsca nizkie, — odejść muszę bez śmiechu nad tobą.

JA Odejdź w pokoju, — ja wezmę oto naczynie pasterskie i napiję się, — woda ma teraz smak miodu.

ON 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Dozwól pamięci, gdy odejdę, opowiedzieć wiele rzeczy smutnych. Nie płaczesz, tedy dobremi ci te melodje będą.

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Nie płaczę, dozwolę tedy opowiedzieć jej, — przewiewa mi włosy wiatr lekki, jakbym widział przed sobą niewyrażone bóstwo dalekiej przestrzeni.

ON 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Bóstwo ono jako słup pochyłego kurzu przechodzi wszystkie miejsca, a nigdzie zatrzymać się nie ma.

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Przechodzi tłumy spocone idące do miejsc świętych, przechodzi szybkość krętej wody, idzie za niem gorzka niepamięć, zaciera skrzętnie ślady, aż przyjdą aby postawili tam swoje znaki przyjaciele dróg i celów......

ON 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Biorę oto szczęt modrzewiu na pamięć jego. Równie dobrze stworzyliśmy je ja i ty, jako i było przed czasem naszym......

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Goreją na popiół obłoki, siwe próchno opada w kielich szafirowy.

ON 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Ucałuj mnie przyjacielu, w pierwszej mgle muszę odejść......

. . . .

JA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Odejdziesz, aby wrócić ku mnie.

OBRAZ 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 Stawy i góry wyrw pełne, melancholijne drzewka pól i wydmy, gdzie się pisze imię kochane w lotnym piasku, czekały na ostatnią czerwoną światłość.

I oto wyprzęgnięto ciężkie konie z wozu obłocznego, i rozbiegły się bez gwaru rumaki po niebie, a wóz taje u zenitu w ogniu różowym....

A owo przypominają mi się kaplice pełne świec i ludu nabożnego; — snują się kadzidła w srebrnym pobrzęku. — A u rzeki dalekiej siedzi dziki wedle kępy cedrów i śpiewa wodospadów piosenkę......

Taki jest dzień! — Listek mały, drobna karta, którą jakby kiedyś spisaną, oglądam ze czcią po wielu stuleciach.

Bo wiem że umarł dawno ten co pisał ją, a wiele źródeł upłynęło, i miasta przeniosły się w wygodniejsze strony.

I myślę jakom twardo wiele rzeczy porzucił, a każdy wieczór inne smętki ma.

I rzeknę poszedłszy w noc nad mosty światła pełne: „otwórz się wodo pokaż mi dzień inny, gnuśne są cienie stare i nie kocham konturów ich“......

Woda mknie pod arkady, niebiosa pełne są żalu gwiaździstego; — a nizko żegluje łódka z ciemnym Aniołem Pamięci......

ALEKSANDER SZCZĘSNY.

UCZEŃ

Uczeń, pilnie schylony, czyta błędne znaki
Na skrzyżowanych losu ostrzach poszczerbionych.
— Kwitnące wkoło pole urodzajne w maki,

Miasteczka dobrych ludzi daleko majaczą,
— Kołysze się na trawie para piór zgubionych, —
— Aniołów prostych drogi tak się ziemi znaczą.

Milcząc znajduje ślady; smutki i nadzieje
Sennemi przeszły ścieżki w wieków kołowrocie:
Pierwsze stali nacięcie gnie się, zębi, chwieje,
Aż póki tryśnie wązkim językiem pragnienia,
Stal, z błękitu otarta dawno, w nikłem złocie
Pryśnięta tu i owdzie w szczerbę — przemożenia.

Uczeń pilnie schylony, nie rycerz ni zbójca,
Długo bada oczami nieruchome bronie:
Czyn, wieczność i marzenie, — ryta w klindze trójca,
Rękojeść, — świętość sprawy, — rzeźba starta w kości,
Na której w ciemnem srebrze rubin serca płonie
Przyćmiony od rąk wielu niechybnej radości. —

Na skrzyżowanych losu ostrzach poszczerbionych,
Pisane blado słowa widzi, — modły ducha,
Znaki, łamiące dzieje w ramionach strwożonych,
Ukryte w gąszczu życia chwały i symbole,
Na których lśni pozłota od starości krucha,

I pilnie trwa do końca, aż trąci godzina,
Kwitnące wkoło w maki urodzajne pole,
I po drodze anielskiej, padłe bacząc pióra,
Odejdzie uczeń w ciżbę, którą los rozgina,
I zamknie się tłum za nim wrąc jak nizka chmura.

ALEKSANDER SZCZĘSNY.

SPLEEN

Kiedy nizkie niebiosa ciążą niby wieko
Nad duchem, rozjęczanym w długich tęsknot mocy,
I kiedy z widnokręgu, jak sięgnąć daleko,
Spływa na cię dzień czarny, smutniejszy od nocy,

Kiedy ziemia, podobna ciemnicy ponurej,
Gdzie nadzieja, ślepego wzorem nietoperza,
Błąka się, bijąc skrzydłem o wilgotne mury
I głową o spróchniałe sklepienia uderza,

Gdy deszcz długiemi smugi od niebios do ziemi
Na kształt więziennej kraty świat naokół zwiera,
Gdy nikczemnych pająków cichy ród się plemi
I w głębi twego mózgu swą sieć rozpościera.

Nagle dzwony dalekie porwą się ogromne
I w niebiosa swój odzew rzucą w wściekłym szale,
Jak duchy potępione, zbłąkane, bezdomne,
Gdy zaczną na swe losy skarżyć się zuchwale.

Korowody żałobne bez pieśni, muzyki
Ciągną po przez mą duszę, nadzieja się łamie
Zwyciężona i płacze; a dłoń trwogi dzikiej
Na mej czaszce schylonej wznosi czarne znamię.

CHARLES BAUDELAIRE.

tłom. Helena Stattlerówna.



NAFEA
PAUL GAUGUIN



W MORZU
MAURICE DENIS

DZIECIŃSTWO

I

Owo bożyszcze, o czarnych oczach i płowej grzywie, bezdomne i sieroce, szlachetniejsze nad baśnie meksykańskie i flamandzkie; jego dziedzina, błękit i zieleń jaskrawa, biegnie wzdłuż wybrzeży, którym pozbawione łodzi fale nadają dzikie imiona celtyckie, słowiańskie, greckie.

Na skraju lasu — kwiaty marzenia dźwięczą, rozchylają się, błyszczą — dziewczę o kraśnej wardze przyklękłe w jasnym potopie, z łąk tryskającym, nagość, którą ocieniają, przenikają i stroją tęcze, rośliny, morze.

Panie, snujące się po tarasach nadmorskich, dziecięce i olbrzymie, przepyszne murzynki we mchu szaro-zielonym, klejnoty wzrosłe na żyznym gruncie gajów i odmarzłych ogródków, — młode matki i starsze siostry o wędrowniczych spojrzeniach, sułtanki, księżniczki, tyrańskie postawą i strojem, małe cudzoziemki i osoby tkliwie nieszczęsne.

O tęsknoto, godzino „drogiego ciałka“ i „drogiego serduszka“!

II

Oto ona, maleńka zmarła, po za krzewami róż. — Młoda nieboszczka mama schodzi po stopniach. Kareta krewnego skrzypi na piasku. — Mały braciszek — (dziś jest w Indjach!) tam, wprost zachodu na łące gwoździków, — staruszkowie, których pochowano, stoją prości w grządce lewkonji.

Rój złotych liści otacza dom komedanta. Godzina południa. — Dążymy drogą czerwoną ku pustej oberży. Pałac jest na sprzedanie; rolety zdjęto.—Proboszcz zabierze klucz od kościoła.—Wokół parku budki stróżów stoją niezajęte. Parkany są tak wysokie, że widać zaledwie szumiące wierzchołki. Zresztą nic tam nie ma do widzenia.

Łąki wznoszą się ku siołom bez kogutów ni zagród. Upust podniesiony. O kalwarje i młyny pustkowia, wyspy i młyńskie kamienie!

Brzęczały kwiaty magiczne. Zbocza je kołysały. Krążyły zwierzęta bajecznego wdzięku. Chmury gromadziły się nad wielkiem morzem, powstałem z wieczności łez gorących.

III

Jest w lesie ptak; śpiew jego zatrzymuje cię i każe ci się rumienić.

Jest zegar, który nie bije.

Jest nora z gniazdem białych zwierzątek.

Jest kościół, który zstępuje, i jezioro które się wznosi.

Jest mały wózeczek, porzucony w gąszczu, albo toczący się pędem wzdłuż ścieżki, w oplotach wstążek.

Jest trupa komedjantów w kostjumach, dostrzeżona przy drodze z poza skraju lasu.

Jest wreszcie ktoś, kto cię odpędza, gdyś głodny i spragniony.

IV

Jestem świętym, trwającym w modłach na górze, podczas gdy ciche zwierzęta pasą się aż po morze Palestyny.

Jestem uczonym w ciemnym fotelu. Deszcz i gałęzie łopocą w okna biblioteczne.

Jestem wędrowcem na wielkiej drodze wskroś karłowatych lasów; szum upustów głuszy me kroki. Długo trwa smętny zalew złota zachodu.

Rad byłbym dzieckiem, porzuconem na głazach tamy, wysuniętej w głąb morza, małym sługą idącym wzdłuż alei, której czoło nieba dosięga.

Ścieżki są przykre. Pagórki pokryte jałowcem. Powietrze nieruchome. O jakże ptaki i źródła są daleko! W dali — chyba już koniec świata.

V

Niech mi wydadzą nareszcie ten grób, bielony wapnem, z wypukłym rąbkiem cementu,—głęboko w ziemi.

Wspieram się o stół, lampa żywo oświetla dzienniki, które głupio czytuję, książki nieciekawe.

W niezmierzonej dali ponad moim salonem podziemnym domy się tłoczą, mgły tumanią. Błoto jest czerwone lub czarne. Miasto potworne, noc bez końca!

Poniżej ścieki. Stronami nic, prócz głębokich nawarstwień ziemi. Może otchłanie błękitu, studnie ognia? Może to na tych płaszczyznach spotykają się księżyce i komety, oceany i bajki.

W godzinach goryczy marzę o kulach z szafiru, z metalu. Jestem panem ciszy. Pocóżby ślad okienka szarzał w kącie sklepienia?

JEAN-ARTHUR RIMBAUD

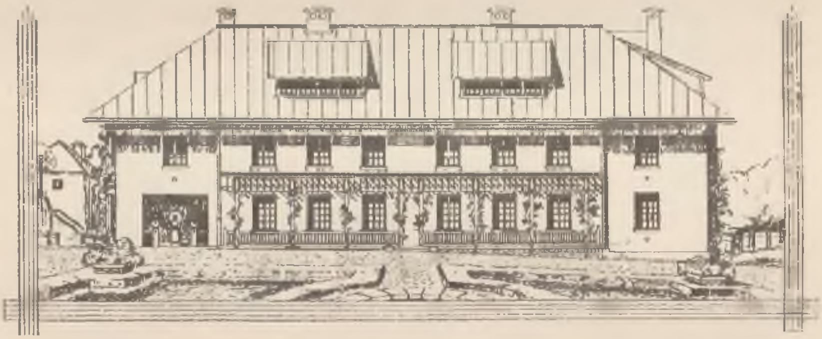
tłom. Helena Stattlerówna



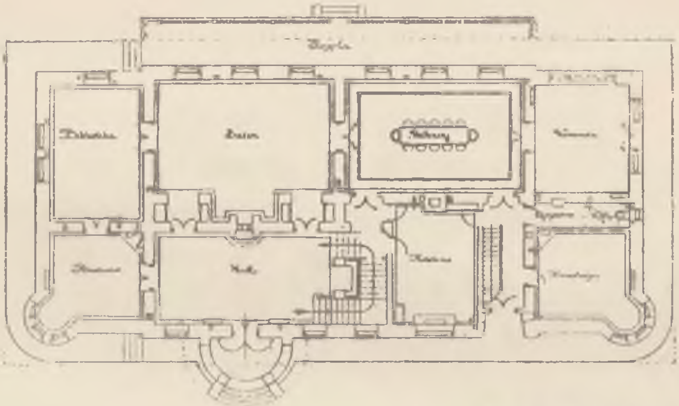
DWÓR W BYKOWCACH NA WOŁYNIU
ALFONS GRAVIER



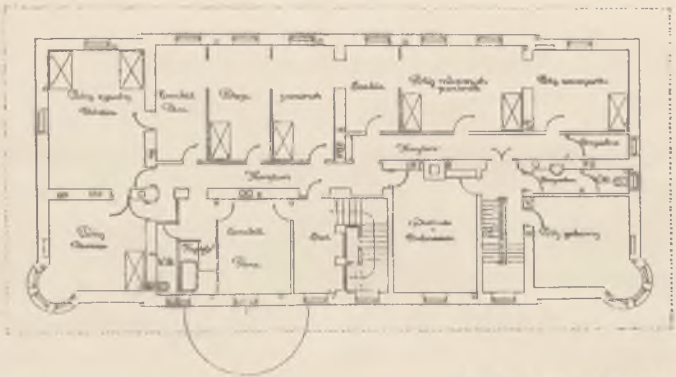
FRONT DWORU



WIDOK OD OGRODU



PLAN PARTERU



PLAN I-go PIĘTRA

XIĄDZ FAUST

POWIEŚĆ

I. SZLAKIEM PRADZIADÓW

Zmieniał Piotr kilka więzień prowincjonalnych jedno za drugiem, gdzie konfrontowano go z różnymi politycznymi.

I teraz, w eskorcie żandarmów, miał dojechać do stacyi kolejowej, by pociągiem ruszyć do więzienia dyscyplinarnego na pograniczu Rosyi i dawnej R-tej. Wiedział, że będzie to już dla niego kresem, gdyż tam czyha jego zażarty wróg, też z obywatelskiej rodziny. Ten wyda nareszcie jego prawdziwe nazwisko, jak mu to przyrzekł, że uczyni.

Jadąc w mroku, przeżywał Piotr bolesne, głęboko wryte wspomnienia.

Przystojnym, zuchwale cynicznym paniczem był ów wróg Piotra — w sali śledczej rozglądał się po więźniach, gestem ręki, ubranej w pierścienie, uwydatniał szczegóły, jak niejaki Skała zabijał kolbą od mauzera jednego z robotników, który zaczął wsypywać; jak potem z nadzwyczajną zimną krwią poszedł grać w szachy przed oczyma licznej publiczności w kawiarni....

Mówiąc to, Kondor zmrużonymi oczyma patrzył, już tylko jedno słowo — a zerwałaby się maska, i pod przejrzystem mianem Skały wyjawi Piotra.

Niedawno Kondor należał do partyi i był jednym z główniejszych, ale związał się z kochanką i uznał wtedy, że partja płaci za mało.

Bo jakże utrzymać się z 35 rubli, kiedy do tego jest bachór?

Kondor nie mógł przejść spokojnie, obok swego dwuletniego dziecka, aby go nie kopnął nogą.

Nieustraszony i bystry, choć zawsze z nutą znikczemnienia, należał do wypraw na pociągi, gdzie wieziono wielkie wory napełnione złotem lub sturublówkami. Kiedy bojówka zaczęła demoralizować się, pierwszy utworzył bandę rozbójniczą i zaczął na własną rękę napadać dwory i karczmy, oblewać naftą żydówki i podpalać, albo, skrępowawszy je wprzód na łożu, zalewał im twarz witrjolem; wtedy zaczęli go ścigać rewolucjoniści jeszcze zacieklej, niż wojsko.

Obległa go raz sotnia kozaków w starej kuźni i po śmiałej wymianie wszystkich strzałów w dwóch brauningach, które miał przy sobie, zrozumiał, że jeśli chce dalej żyć, pozostaje mu tylko...

Wyszedł, białą chustką powiewając, i rzekł do rotmistrza kilka słów, które uchroniły go od natychmiastowego zasiekania nahajami; rozwścieklenı byli oporem jedynego człowieka w kuźni, gdzie kozacy spodziewali się z gęstości i celności strzałów całej partyi.

W więzieniu zaczął wyjawiać, a że wiedział wszystko do najdrobniejszych szczegółów, że nigdy nie zmylił się, ani nigdy nie skłamał, policja uzyskała naraz wejście i orjentację we wszystkich labiryntach...

Kilkanaście szubienic zadrgało od konwulsjami targanych ciał.

Kondor odsiadywał swe domowe więzienie, strzeżony raczej dla bezpieczeństwa przed rewolucjonistami, niż przez karę.

Tam w sali śledczej mierzył Piotra od czasu do czasu błyskami swych zuchwałych spojrzeń — mimo iż wzrok tamtego groźną zadumą okryty patrzył w niego prosto, jakby wzrok Danta mierzący niechlujną lodową czeluść złośliwego Demona.

Wreszcie adwokat, poruszony tem, że słowa Kondora kosiły każdym swym zamachem życie mnóstwa ludzi i rodzin — zwrócił się do niego z wyrzutem:

— A czyliż pan nie byłeś między nimi? i pan miałeś niegdyś wysokie porywy do ujrzenia ludzkości wolną, równą, szczęśliwą! pan teraz gubisz tych ludzi, których podżegałeś — między którymi uznałeś godnym się za wodza — których opuściłeś, aby grabić i zbójecko hulać po dworach! Kiedyż zamilkniesz?

— Panie prisiażnyj powieriennyj! moje sumienie nie należy do pana! jedno jest tylko co mnie zmusi do milczenia — odrzekł szyderczo Kondor, a tem jest kula rewolwerowa! Dopóki ta mi nie przejdzie mózgu, będę korzystał z moich praw do życia! —

I zaczął dalej ciągnąć historję całego ruchu w gubernii.

Ukończone śledztwo. — —

Do celi samotnie siedzącego Piotra wszedł Kondor, bystro badając, jaki ruch uczyni więzień.

Lecz ten podniósłszy wzgardliwie głowę, znowu opuścił ją ku lepionemu z chleba więziennego posążkowi.

— Eh bien, chéri — zaśmiał się Kondor: marzysz o kobiecie, pora by wyjść, co?

— Proszę wyjść.

— Wybacz, że usiądę. A tak zdawałoby się niedawno mówił ci jeszcze nauczyciel Anfonow: Piotr takoj to, za dikoje nachalstwo dwadcat czetyrie czasa w kar-

cerie! pamiętasz, jak ja ściągałem od ciebie wypracowania, ale zato ty uderzyłeś mnie w twarz za jakiś mój niewinny koncept o rozgniatanych poziomkach na twarzy twej siostry.

-- Wyjdź pan z mej celi.

— W kółku naszym samokształcenia byłeś pierwszy. Zawsze starałeś się mnie upokorzyć — np. w tej dyspucie na tle Spencera o ewolucyi i dyzolucyi! Powiem prawdę, nie starałeś się, ale przychodziło ci to mimowoli...

Czytałeś potajemnie Ramajanę i miałeś się za bohatera z rasy słonecznej dawnych Arjów.

W trzech słowach kończę, rzekł wobec powstającego z krzesła Piotra. Moja kara już mija, prędko będę wolny. Udziel mi, bracie, polecającego listu do Twej siostry. Chciałbym zmienić życie. Znasz mnie, że nie mam w sobie nic z gruboskórności Pochronia. Namówię ją na wyjazd zagranicę, zajmiemy się sztuką. Zawsze frapowały mnie łacińska wymowa i francuskie malarstwo. Twoja siostra to jakby Diana Vaughan!—

Miotnął się Piotr, ale jego wyniosła postać, blond kędziory i cudna rycerska twarz mogły się stać tylko symbolem groźby, gdyż kajdany, rzemieniami ściągnięte, przykuwały mu ręce do pasa.

Wzrok gorejący wbił w agatowe jasne szybki Kondora.

— Idź zdradzić — szybko — dwóch na świecie nas żyć nie może.

— Według życzenia pańskiego. Czy ono jednak dotrwa do czasu, gdy rozbity fizycznie i moralnie, znajdziesz się pan w więzieniu dyscyplinarnem? to dopiero zobaczymy. W każdym razie ja tam już będę czekał— i postawię wtedy ultimatum.

Ale żebyś nie był zbity tej nocy przy indagacyi, objaw mi dobrowolnie hasło, przy pomocy którego porozumiewałeś się z dostawcami broni nad granicą.

Pomyśl, Piotrze, masz dopiero lat dwadzieścia i dwa. Jeśli będę milczał, dostaniesz wszystkiego 15 lat katorgi. Cóż to wielkiego? wyjdziesz, mając lat 37. Pełnia życia! Zresztą, towarzysze ułatwią, albo amnestja... Ślubuję ci, że od twej siostry wydębiwszy pieniądze, dostarczę i tobie. Ona już tylko jedna wie, gdzie jest zakopany półmiljonik, ale dlatego też nie chce tu mieszkać i wybrała Wenecję. Maluje teraz cmentarz na wyspie, gdzie czarne gondole, marząc na zielonej wodzie w zachodzącem słońcu, wsuwają się między gąszcza mrocznych cyprysów... Widzisz, wiem dokładnie o niej...— A pieniądze wszystko potrafią — tocząca się potęga, według Tołstoja, a jak mówi Szekspir w Kupcu Weneckim — to skupiona krew! — —

Piotr rzucił się ku drzwiom i ramionami gwałtownie walił o żelazne drzwi.

Na ten rumor wpadli dozorcy.

— Proszę poświecić temu panu na schodach, rzekł dyszącym głosem — wskazując końcem nogi, okutej w łańcuch, w stronę Kondora. — I jakiem prawem tu wchodzi ktoś inny, prócz naczalstwa?

— Wszystko się wytłomaczy, wszystko!

La vida es sueño. Jest równie księżycowa noc, jak wtedy, gdyś przy monopolu zabijał straż.

Petre — Petre... tu es Petra... sto ad portam tuam et clamo: eris sicut Lucifer! ut non dicas: eheu! corpus meum cecidit ab ligno szubienicy!

Pecunia może wiele... pomyśl, że główny winowajca siedzi obecnie w Paryżu, bo siostry jego rzuciły su-

mami. Ma się rozumieć, bogata żydowska rodzina. Twoja matka jest wszakże nędzarką? Widziałeś tych olbrzymów — chłopów i robotników, którzy przechodzili przez kancelarję — tym, gdyby ktoś tylko dostarczył pilnika, oni sami wydarliby kraty, i zeszli po sznurach z bielizny i bałachona na wolność... Nie mają bogatych lub pięknych sióstr...

Partja?... wszędzie biedny zginąć musi.

Partja jest jak owa matka obca na sądzie Salomona: woli, żeby dziecko było rozdarte, niż żeby miało się ostać i służyć stronie przeciwnej...

Partja słabo ratuje... i to zniechęca.

Te olbrzymy chłopy jutro o świcie wszyscy będą wisieć.

Prawda, panie starszy dozorco?

Więc my ujrzymy się aż w dyscyplinarnym. Ha ha! życie nie jest igraszką fal Böcklina... W mordę kują te sołdaty śmierdzącemi łapami... wtedy zrozumiesz, że człowiek, ze swoją pozorną głębią — jestto kupa narządów, które chcą żreć i wyją, gdy je kopać w brzuch między Mons Veneris i splotem słonecznym. Ecoutez encore: ainsi que je suis Kondor — votre soeur sera bienheureuse. Je vous assure! —

Zatrzasnęły się żelazne dźwierze.

— Więźniowi — wyrzekł głośno, ale już za drzwiami do nadzorców — proszę dostarczyć atramentu, pióra i listowego papieru. Ma złożyć list na me ręce.

— Won, rzucił mu z za drzwi Piotr.

. . . .

Stało się w następstwie, jak przewidział Kondor, po bezowocnej macaninie śledczej i wędrowaniu z więzienia do więzienia — wreszcie za tępy upór i nieprzy-

znawanie się, zaliczony został Piotr na czas nieograniczony między niepoprawnych w więzieniu dyscyplinarnem miasta X.

Jechał tam Piotr, wiedząc, iż to są już jego ostatnie godziny. Tam spotka mężnie losy z góry wiadome w postaci uśmiechniętych zeznań Kondora. Jechał szlakiem pradziadów, którzy w kibitkach lub etapem pieszym wyruszali tysiące wiorst od swego kraju aż pod zorze borealne wśród martwych tajg Kołymy i Jeniseju... Zacząwszy od biskupa Sołtyka, który rażony był obłędem, generała Kopcia, Rufina Piotrowskiego i księdza Sierocińskiego, który wyzionął pod 6000 kijów, aż do paruset tysięcy powstańców i również paruset tysięcy późniejszego ludu...

Sybir, kiedy już przestanie być krajem dla różnorakiego motłochu, szukającego „nażywy“ — stanie się zarówno dla Rosyi jak dla Polski Hakeldamą... rolą krwi.....

卐

II. MALEFICIUM BENEFICII 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

Wjeżdżali do wsi Zakliszczyków, gdzie rzeka Prypeć rozlewa siedmiu korytami; siedem mostów wysokich wznosi się tam nowozbudowanych.

Z powodu, że niedosypane tereny osunęły się, mosty sterczą na łokieć od ziemi, włościanie zakrywają doły żerdźmi i ziemią, w tych nasypach zaś tworzą się wilcze doły. Co gorsza, belki na moście, zakupione w dostawie przez podriadczyków, zgniły haniebnie, świecą dziurami, aż wgłąb ku wodzie. Biada temu, kto jedzie, nawet dniem po chwiejących się dylach:

konie chrapią i tłoczą się na siebie, cofając wzrok swój od dziko szumiącej rzeki, kopytami zapadają między osuwające się belki, których jeden koniec gdy znienacka podważy się — koń w śmiertelnym popłochu targnie uprzężą, zrywając, gdy słabsza...

Są to mosty, myślał Piotr, na których inżynierowie — tak wielbieni i słusznie [jako idea] przez zacne powieściopisarki „Argonauci", zarabiali na każdym po 10 tysięcy. Każdy z tych mostów jest ze swą specjalną sztuczką — ten łamie koła, ów płozy od sań, tamten okulawia konie, inny grozi zawaleniem się całkowitem.

Ale zato, kiedy ktoś przejedzie wszystkie mosty szczęśliwie — jaką radość poczuje we wnęku, jak mu się świat rozjaśni, jak chętnie wtedy ucałowałby inżyniera i wypił z nim Haf and hafu za świetnie udane podriady, na których zarobili polacy wespół z rosjanami i żydami! Wielka machina państwowa wszystko zniesie — i ktoby tam zaglądał, na jakim żywym ludzkim bruku pędzą nasze gumy lub petersburskie kłusaki?!

Potem inżynier urządzi sobie pałace, gustowne, jak stajnie dla słoniów; złowi żonę, jak malowanie, nastawi posągów tandetnych a drogich, przedstawiających nagie primadonny... kilka obrazów, gdzie pstrykanina własna będzie sąsiadowała z przypadkowo według ceny wysokiej zakupionem arcydziełem Chełmońskiego lub Maneta — portretem Pawła I przy wyuzdanych kiczach malarzy Moulin Rouge'a.

Znaj naszych!..

— Pojeżżaj! krzyknął zniecierpliwiony ostrymi ukąsami śniegu stary żandarm do wlokącego się już od kwadransa woźnicy.

Konie zarwały, zamamlały w śnieżnej mazi kopytami. Szaleje zadymka, mrok iście piekła, nie nocy wigilijnej!

Wspomnienie: — jarzy mnóstwem ogni i pozłot, wyniosły aż pod sufit, świerk — domownicy wraz z Piotrusiem małym nucą wzruszającą Kolendę:

— Bóg się rodzi, moc truchleje —
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice — nieskończony! —

Na tej zwrotce urwało się dzieciństwo i nasz więzień uczuł się wyrzuconym w powietrze.

Ale co jest niemiłe filistrom, bywa wymarzoną gratką dla więźnia.

I kto wie, mości mostów inżynierze, czy nie Opatrzność wiodła twymi pozornie chciwymi obliczeniami— aby oto więzień uczuł się wolnym!...

Na pół zdrzemnięty, zdążył tylko machinalnie za coś uchwycić — i już całem ciałem zawisnął nad wezbraną, krami szumiącą, rzeką. Trzymając dyl, myślami przecierając oczy, usłyszał już tylko odległy krzyk żandarmów:

— Łowi, łowi! —

Chlastał bicz dalekie konie, kopyta ich zabębniły raz jeszcze na ostatnim moście — i — pisz waćpan na Berdyczów!

Położenie Piotra stało się niezwykle interesujące: niby gracz w Monte Carlo, odgadujący cyfrę, która mu przyniesie złota wór, czy kulę zapędzi do mózgu, podobnie rozmyślał Piotr: utonąć w rzece wolnym, puściwszy żerdź z ręki — czy być nadal Prometeuszem, Absolutem, Królem stworzenia — aż do stryczka?

Lichym był żołnierz napoleoński, który nie nosił w tornistrze marszałkowskiej buławy...

Lichym jest człowiek, który modląc się długo i zbożnie przed Losem — nie spróbuje jednak w pewnej wybranej chwili uczęstować go pięścią naodlew!

Te czy inne argumenty, lub może poprostu potężne „nieświadome" młodzieńczego organizmu rozstrzygnęło z jurnością nie filozoficzną, ale prastarą małpią...

„Naukowo" w rzecz wejrzawszy, widzimy nie Melchizedecha z jego bezkrwawą ofiarą, ale małpy ogoniaste świata nowego, lub małpy bezogoniaste świata starego — a między tą wielką rodziną — skaczącego z maczugą Homosimiusa...

Wola „nieświadomego" przy pomocy wszystkich muskułów krzyża, brzucha, ramion i lędźwi — kazała podciągnąć się, rzutem nogi prawej zarzucić stopę w otwór między warstwami dylów, i —

Uczyniła ta moc to wszystko tak nagle, że Piotr uczuł gorąco od wzruszenia i potu dopiero wtedy, gdy stał na moście z wykręconą nogą, nie mogąc jej wydobyć. Śnieżne wysokie brzegi jaru — zdały mu się mózgiem, po którym ściekały krwawe błyskawice.

Kra w czarnych odmętach zmięszała się mu z kaszą w oczach.

„Byłoby tak lekko, lekko" — gdyby nie straszliwy ból. Wydobył wreszcie stopę. Czołgał się na rękach, skakał na jednej nodze, aż upewniwszy się, że iść niepodobna, wkopał się w śnieg przydrożny wśród zasp.

W oczach migał mu podługowaty zczerniały śnieg, niby kopeć z rozkręconej lampy — migał, sypał się w wór bez dna.

W okolicach przepony poczuł duszność i słodkawe ciągoty. Mdlał.

Zbudził się na śniegu, leżąc; powstał, uczuł znowu w piersiach gorzkość, brak tchu, szybko łykał śnieg, aby nie zemdleć raz drugi — mówił sobie coś w rodzaju —

— Na bębnie wyliczał Napoleon w czasie bitwy — Piotrze, nie bądź łotrem — ugryź rękę — aby nie zemdleć — żandarmi wrócą —

Ha — ha — zrozumiej, człowiek ze swymi pozornymi głębiami jestto kupa narządów — zaczął brzmieć dziwnie ckliwo głos cichutki kogoś czarnego.

Mroki nasunęły się, pełzną w przepaść z przerażającą szybkością — osunął się za nimi — wola została daleko — zjeżdżaj, kędy wiezie mus!

Zemdlał tym razem na długo.

Mózg Piotra zaczął snuć bolesne przeżycia, które zaostrzały się w ton proroczy i wizyjny.

Widział na olbrzymim dworcu emigrantów, każdy walczy o dobro tylko swych tobołków i walizek, każdy dba tylko o ten łyk gorącej herbaty lub filiżankę bulionu dla dziecka, każdy patrzy wrogo na sąsiada, czy ten mu nie zapuści ręki do palta.

Rządzi tą już bezdomną gromadą, tym tłumem wielkiego narodu emigrantów,—gwizd lokomotywy, brzęk dzwonka — niema zaś już polskiej duszy zbiorowej, polskiego zbiorowego sumienia!...

I widział, jakby za przezroczystą szybą niezliczone szantaże w polityce i w literaturze, w krytyce i w zarządzie magistrackim — kto upomni się, kto osądzi — kto wyda straszny wyrok opinii? gdzie są Rejtany? Widział zupełne rozkręcenie śruby okrętu ziemnego, setki ty-

sięcy, które giną od błota i mrozu, lub od dżumy w Mandżuryi, z tą obojętnością u jednych na śmierć, która cechuje buddystów, z tą żądzą u innych zarobienia 25 tysięcy płacy lekarskiej na dżumie.... przeciw której niema środka i nie robiono też nic....

Słucha Piotr — i nawet nie oponuje kapitaliście, który tyjąc na skupionej krwi swej renty, narzekał na rewolucję, że tak wszystko popsuła...

Dobrze poczciwcowi — żona mu podaje wieczerzę wykwintną z kwiatami, na mieście czeka niedawno zgodzona po dyrektorze teatru utrzymanka, albo do wyboru bridż z przedstawicielami prasy... Można też zajechać powozem do klubu i omówić kwestję zakupna akcyj od chwiejącej się cukrowni. — Taki pan Groszower nie spotka Piotra na raucie i nie obrazi się z powodu niewinnej ironii jego zapytania: któż rządzi nareszcie światem: Chrystus? więc czemu nie dzielimy się jeden z drugim przy wielkim wigilijnym stole świata? — lub jeśli nie Chrystus — a! to znów co innego — panie Groszower, przecież zrozumiej, żeś tylko pijawką i wszą społeczną, nie ewolucją naszej polskiej ziemi... że trzeba cię zmiażdżyć tarczami tak, jak rozmiażdżyli Salomę żołnierze rzymscy — niby z gniazda chuci wyrosłe nassane krwią zielsko!..

I obojętne to, czy imię tego zielska Groszower, czy książe Gwido Trykalski...

— Sędziami wtedy będziem my! —

Kto my? czerń złotrowana, nieistniejący cnotliwy lud Russa i Machajskiego?

I zmroczył się Piotr, jak lampa przykręcona — zrozumiał, że niema wyjścia dla świata, który zaparł się wiodących wzwyż pierwiastków ducha — i nie uzna-

je już ludzkości za wielką rodzinę, której nielża budować wieży Babel gwoli morderstw wyfraczonych maklerów politycznych na Kongresach.

— Nie zabijaj — mówił niegdyś Bóg ze Synaju, z góry Tabor, z pod świętej Figi Indyjskiej — lub ustami Chelczyckiego, Skargi, Mickiewicza!..

— Nie poniżaj! — mówił najświetlańszy Intuicjonista, ukrzyżowany na murze Potęgi ciemnoty.

Kain zabił tylko brata...

Kainy współczesne zabijają dusze, a my uśmiechamy się z obojętnością chińskich marjonetek.

Widział Piotr Kaina, który nie biega już z maczugą, ma dobrze leżący tużurek, robi interesa na wszystkiem, wybiera z Menu świata najlepsze potrawy, zna się na kobietach, proteguje sympatyczne mu talenty —
i — uznaje jakąś powolną, niezależną od woli, ewolucję.

Oto nawet wchodzi do Kościoła, gdyż jest tam uroczyste nabożeństwo za uznaną narodową chwałę — nieszkodliwą już, bo z ducha pogrobowego usunięto wszystkie pierwiastki, które od ludzi żądają bohaterstwa, mocy twórczej i zaparcia się.

Wzniosło się olbrzymie, jak kościół, bagno dusz — zbluzganą jest nawet spowiedź, bo ktoś Ciemny siedzi w konfesjonale.... Nagle zaczęto kamienować Piotra, przeklinając Matkę, która go wychowała na Mickiewicza Dziadach.

Zabiwszy, tłumy odwróciły się od niego, — wtedy ze zdumieniem ujrzał tych, którzy są Wrotnymi bram wysokich — i czuwając, czują...

(d. c. n.)

TADEUSZ MICIŃSKI.

SZTUKA JAKO ŻYCIE 卐 卐 卐

Zgroza! lokajstwo w zbrojach, na oblicze
włożywszy hełmy, staje mi na drodze —
(Słowacki).

Niestety, tylko taka dewiza nasuwa się na pamięć, kiedy trzeba pisać o rzeczach świętych, a budzących powszechną niechęć.

Mówię o wtajemniczeniu życiowem artysty, o starciu się dwu różnych a wrogich sobie doświadczeń: tego, kto się „kopytami stada pieczętuje" i twórcy piękna, o harfianej, bezsennej duszy.

Czy doświadczenie z „ducha" posiada wartość nakazu społecznego, a w takim razie czy „życie w sztuce" jest wiedzą?

Jakkolwiek suche analogje myślowe określają pobieżnie tę nową wiedzę, widząc jednak jak rozumiał Sztukę Słowacki, pragnę okazać, że najpilniejszem jest dla artysty wykonanie testamentu wiernego Tłómacza Słowa (Wykład nauki cz. II).

. . . .

Dla uwydatnienia definicyi sztuki jako wiedzy podaję twórczo-myślącemu czytelnikowi następujący schemat. Wartość czynu (dzieła) mierzy się napięciem odpowiedzialności stałej, jaką dzieło w sobie zawiera. Odpowiedzialność ta jest właściwie miłością, a staje się bohaterstwem. Rzecz polega więc na stwarzaniu nowych możliwości życia i oto sztuka jest wiedzą „jakościową". Artysta wyrasta ponad indywidualność staje się możliwem i realizującem się jednocześnie społeczeństwem. Nauka zaś polega na symetrycznem oglądaniu zastygłej już pracy ducha.

Zna ona jedynie ilościowe stosunki między rzeczami, operuje (że tak powiem) w przestrzeni życia, kiedy jakości życia poznawane być mogą jedynie w ruchu, w czasie. Jest ona, po malarsku rzecz biorąc, jakoby obrazem bez „powietrza“.

Człowiek istnieje w niej jako indywidualność, a rozumiem to ograniczenie przez świat stworzony i zatrzymany: miljardy egzystencyj składają się na jednostkę, wykreślają one jej odrębność, będąc przez nią w następstwie wykreślane, nic przytem nie tworzą. Sztuka wykrywa prawa twórczości, określane artystycznie, przeto stworzonemi już zespołami słów nic prawdziwie nowego powiedzieć nie można. Tu poczyna się moment wyboru i samotności bezwzględnej: dla każego z nas wiekuiście „pierwszy dzień stworzenia“.

Wobec tego t. z. „żywiołowość, wrażeniowość i t. p.“ są negacyami „życia“. Logika języka mówi: odbierać wrażenia, więc istnieć jako chwila, która ginie bezpowrotnie w oceanie przypadkowych zmian. Sztuka uczy ujmować ducha w dłonie, stąd razem stwarzać własną pewność i odpowiedzialność za nią.

Tak zrozumiał posłannictwo swoje Słowacki w epoce dojrzałości, w okresie mistycznym, a i dziś są tacy pomiędzy artystami, którzy, przez miłość poczętą w osamotnieniu, będą kontynuować Jego testament.

. . . .

Oto definicye, a porozumiewać się dalej możemy jedynie przez „budowanie kraju na wolności Ducha ludzkiego opartem“, „z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń“ (Słowacki).

Sztuka przeto nie może znijść do tłumu i jego martwych słów, bo tam używanie rodzi nienawiść i zni-

szczenie; sztuka jako życie chce społeczeństwa zbudowanego na hymnie harmonijnego i nieoglądającego się po za siebie współpracownictwa.

Wśród zmarłych i spożywaczy trupów niema miejsca na piękno, miłość i bohaterstwo.

Pojęcia takie wypracowuje „życie w sztuce" przez natchnioną głęboko odpowiedzialność, płynącą z opanowania materyału i przeniesienia wartości z rzeczy pozornych (nieopanowane łakomstwo rąk!) w sferę Bezimienną, w wiarę niezłomną w ziszczenie się wszystkich cudów tęsknoty ludzkiej.

Słowacki nam mówił: „Nie lękaj się! że jako dziecko w początkach będziesz szczebiotał pomiędzy ludami, nie mogąc zrazu wytłómaczyć się wyraźnie z zapałów twoich. Ideą podbijaj duchy narodów, aż cię ukochają dla wielkości i anielstwa celów twoich! A wszyscy dopomogą do czynu".

Sztuka ma więc istotną wartość i dlatego, że w niej wyrasta człowiek ponad ograniczoną indywidualność, która jest panowaniem śmierci.

Kiedy Słowacki, w chwili czynu, w chwili zdarcia zasłony ze świątyni Słowa wprowadził nas przed Wiekuiste Sądy, nie był wtedy samotnym.

Wyznał on zresztą sam, że minione tysiącolecia stanęły przed nim żywe, a gdy błyskawicę prawdy sercem ujął, ujrzał wtedy, jak kolumny duchów oddawały światło utajone z rąk do rąk ponad otchłaniami śmierci, aż stanął w szeregu duchów, jako twórczość polska.

Wierzę w możliwość podjęcia tego światła dalej, albowiem każda tęsknota musi się wypełnić do końca.

. . . .

Znawcy mysterjów Wschodu utrzymują, że „czysty artysta" jest „wtajemniczonym", — mówię o tem dlatego, że ktoby w mojej uwadze o „Sztuce jako życiu" chciał widzieć sekciarstwo, to mu pragnę dopomódz. Sekciarstwo tak rozumianej sztuki (że sparafrazuję Krasińskiego) „jest tak stare, jak serce wolnych" i polega na tem, że sztuka nie służąc żadnym „dobrym interesom" jest jednocześnie sferą niezbędnego czynu. Inaczej zaś rozumiana, podobnie zresztą jak miłość, staje się prostytucyą.

JAN RUNDBAKEN.

卐

SŁOWO O BOHATERSTWIE ŻYWOTA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

(S. ŻEROMSKI „SUŁKOWSKI")

Coleoni. Do nędznego skrawka ziemi łańcuchem się przykułeś. Ambicji cudzej służysz. Na tarczy wolnego rycerza wymalowałeś symbol czyjejś, nie własnej potęgi i tem się chełpisz — niewolniku.

Hetman. Na twarz przed tobą upadam szaleństwo polskie... Daj niech ucichnie w duszy mojej gniew.

„Słowo o bohaterstwie żywota" oto odmienny tytuł tego, co o „Sułkowskim" powiedzieć chcę. Inaczej, — to krótka nazwa opowieści o wielojęzycznej trosce, o gorzkiem wybraniu się w drogę kamienną, wodzo-

wi świadomą, przez naród przeczuwaną zaledwie. Naród nie zna historji duszy ludzkiej. Własnemi jego dziejami są te, któremi się raduje, przyswojonemi, te, którym złorzeczy, zatrzymując je w pamięci z grozy lub mściwości.

Naród jest historycznym sędzią zdrady. Ale jest on masą, która uderza i gniecie ślepym zamachem ciężaru. Pozbawiona oporu przeciw któremu została rozhuśtaną, — tłucze i niszczy ściany własnego domostwa, póki nie uczuje dławiącej pętli schwytania, od której zależy kierunek siły.

Jeśli pętla zarzucona jest z bezlitosną miłością i niemym połyskiem zrozumienia formuły ruchu, — naród cudów dokona. Ale tylko wtedy. Sułkowski chce być ową bezlitosną miłością, chce być kondotjerem jej, jednym ze szlachetnych, jakich Polska wydała w dobie swojego upadku. Po pierwszej sprawie chce podnieść drugą, przez chytrą bezsenną naukę, przez czuwanie nad obcą siłą, która rzekomo jest matematycznym wzorem pomyślanej przezeń wolności. A ma on zasłonić chłopu polskiemu obcym sztandarem bezradną tęsknotę za ciepłym piachem swojej ziemi, z której wygnała go zdrada pańska i krzywda niewoli. Ma odebrać temu chłopskiemu rycerzowi już nie zdradę, a wiedzę jej, — ciężki i sprawiedliwy zarzut gotowany w sercach, które płaczą uderzeniami bagnetu po szerokim świecie wojackim. Aż póki padnie rozkazanie, aby gotów był wtedy i obleczon odświętnie w moc zwycięzką żołnierz wędrowny. —

Nęcona jest, garbi się i prostuje dusza wielka, wzbierają oczy od niesłychanych czerwonych łez wysiłku, wpatrywania się w głębie podejrzeń, na które, kto wie

czy starczy stalowa przysięga obrony. I kuszony jest polski kondotjer szlachetności, jako ten, który mógłby się stać narzędziem ku wygodzie celów, choć strażuje sam w imię swoje i nie ucicha w duszy jego gniew, a nie pada na twarz przed szaleństwem polskiem. Przez ojczyzny miłość i pohańbienie nie rozumie on jeno fatalnego wcielenia się potęgi żywota w zły znak, którego ideę przeczuł i żegnał w falistej linji piękna. — Czas opowiedzieć teraz duszę wielką, hymn wyśpiewany do uszu marzących o przepaści szlachetności polskiej...

Kiedy zstąpi w siebie dusza na potajemną radę żywota, dowiadywać się skąd jest i jak przejść ma aby nie była w niej poniżona świętość ognia, wtedy ujrzy na stole radnym batog, miecz i różę, złożone jako milczące świadectwa tego, co się dzieje w ukryciu. I nie przemówią one narzędzia ze siebie, ale dotknie je z kolei każda ręka rady, a rzeknie za nie każda zjawa w masce, z pod której tylko czoło i usta mówiące, aby potem pójść na miejsce swoje,—rozważać do końca.

Przeto ślepe będą czyny jakieby narodziła z siebie dusza przed czasem z rady odeszła, zabierając w sobie bohatera jeno jednej mowy, jednej jeno ręki na świadectwo wskazującej. —

I rzuci się ona na strzały przeciwne mężna ale krucha, albo upadnie w nędzy imając się chytrości wobec duchów boju, albo między karty modlitwy odda dobrowolnie kwiat swój na uschnięcie, wierząc że taka była moc, gdy poza radą niemasz ofiary.

A czas po jej żywej doli zaczęty wypełni blady obraz prawdy w tęsknocie niedoczekanej, — złudna i gor-

sząca zmysły figura poświęcenia, dziwaczna jako wszystko to, co się bezpowrotnie stało. — Byłabym raczej w zbójectwie i jego pogodzie lepsza i bardziej gorliwa— rzeknie sobie wtedy dusza taka,—bym ujęła życie moje tak jako się uprzedza ciosy, a wtedy — pora z chrzęstem iść na podziemia, zerwać radzie maski jej i zagrabić milczące narzędzia. —

Tak westchnie ona nikle w sobie i rozwieje się w jeszcze jedno biadanie. —

Bo taką jest dusza, która przed czasem radę swoją odeszła.

A nie powiedzianem jej jest, gdy się odradza razy wiele, co i kiedy czyniła, niemasz dla niej na czole przestrogi, po której się dłoń przesunie; wstając znowu jest jako budzony ze snu okrzyk gromki, gdy wkoło zesztywniałe filary i pełne niechęci, martwo ciosane oblicza. Tedy jeśli chce wieść sama siebie poprzez tajemne bramy odrodzenia, gdzie się pamięć zagubia, jeśli chce wiedzieć zawsze, a nic nie mieć coby było dorzucone tylko przez echo filarów, musi nakłonić ku sobie sen przejścia, znaleźć w sobie uśmiech mądry na śmierć,— cienistą furtę powrotu. Musi czuwać sobie we wszelkiej postaci, być sobie przemądrym wróżem rzeczy zagubionych, aż póki wydadzą się sprawy świętości jej. I wtedy jeszcze jeden żywot jej nie będzie poniżony, owszem cierpliwie wywyższy się przez radę pełną i okrzyknięty będzie jako wzniosły spisek w podziemiach znijścia.

A dusza wyda z siebie to co nie będzie miało imienia ofiary na znak, odpowie znakiem tajemnicy żywota, aby uniosło się przeznaczenie u stolicy i padło obok niej dając przejście.

Dokąd pójść ma dusza, któraby zwaliła przeznaczenie, gdzież uda się po owem osłupieniu największej wiktorji, gdy słychać jakby szum rozdzielonych wód i odsłonięte są dna drogi.

Pójdzie szukać po świecie takich jako ona dziwnych, aby poznali się po znaku, po zniewoleniu żywota aby poznali się.

I oto pełna jest dusza polska rycerstwa i niemasz miejsca, gdzieby nie była w myśli swojej. Niemasz w niej ran z których by nie wyrosło naigrawanie z śmierci. Igrać jeno nie umie ona z przeznaczenia ostatnim podstępem, rozrzewnia się na ból udany ciemnego boga, aby powinęła się stopa zapatrzonej w roty anielskie. — Tak upada dusza polska w otchłań szlachetności swojej. —

Kiedy ukazała się książka gdzie wielkość ofiary upada wobec znaku żywota, a ofiara sama nie staje się przez niecierpliwość z rady, jeno przez oną fatalność szlachetności choćby stygnącej w kamień i zaciętej, — wtedy przypomniała mi się wiecznie nowa jutrznia ludzka, czyhająca nawałnica trudów i rzewne „tak", które jest sądem o innej godzinie. —

W „Sułkowskim" przesłania to wszystko cień miłości. Wydobyty z pośród narodu, odszukany po ziemi w płaczu i wrzawie pogoni, a niedopoznania wielki wszędzie, gdzie nim wzgardzono, zarzuca srebrną sieć i wyławia bohaterów, — zwłoki brązowe, ku którym rzadko pochyli się z uwielbieniem twarz biegnącego hoplity. I jeszcze o miłości powiem. Zły znak żywota przeciw któremu bohater polski stawia jako puklerz krzywdę całego narodu, pojęty jest przez mistrza Sułkowskiego. Pojęty jest miłośnie przez tego

rybaka bohaterskich posągów, kiedy rzuca zbędne ostrzeżenie swoje. A rzuca je sposobiąc znak odwetu, dziwne wskazanie strzępu z martwego serca zerwanego. Znak będzie — płonące miasta północne, tam, w tej chwili gorących piasków, gdzie snują się miraże, i Anubis wiedzie ludzi przez koło żywota.

I będzie to jedyne świadectwo, że zawcześnie niemasz bohatera, którego zamysł żelazny, spotkawszy dziwne serce wygięte w falistą linję piękna, runął w otchłań szlachetności polskiej. —

A. SZCZĘSNY.

O MALARSTWIE

(GARŚĆ UWAG).

Bieg spraw artystycznych w Europie rozwija się w ostatnich dziesiątkach lat z niezmierną szybkością, a praca narodów gorączkowo zdąża ku wytwarzaniu nowych form artystycznych.

Walka z tradycyą akademicką, opiera się w części na uwzględnianiu wartości artystycznych zaklętych w odnalezionych zabytkach sztuki starożytnej i wogóle wschodu, w części zaś na śmiałych spojrzeniach artystów w tajnie natury. Tradycya akademicka przez zbanalizowanie formy, podnosi przeciętność do zasady, do ideału. Daje jednak w ręce artysty gotowe środki, które zawsze do swych artystycznych celów zastosować może, o ile po linji wypadkowej kroczy.

O malarskiej tradycyi akademickiej w ścisłem tego słowa znaczeniu nie może być u nas mowy. Nasze malarstwo powstaje jako historyczne, zjawia się niespodzianie w chwili największej depressyi narodowej po ostatnim wysiłku narodu do odzyskania wolności z bronią w ręku.

Żyje w jednym gienialnym malarzu, Matejce, który objąwszy duchem swym tryumfy i najważniejsze zdarzenia wytyczne w historyi swego narodu, w formę o liniach bohaterskich je wciela. Tysiącletni zwał czasu otrzymuje swe epitaphium.

Z Matejką, przy końcu jego działalności walczą realiści i impresjoniści. Bohaterskiej linii przeciwstawiono indywidualizm natury. Powstają męczennicy sztuki, jak Aleksander i Max Gierymski, schodzą w nieznane nam misterya materyału-farby, i przez usunięcie ducha na plan drugi stwarzają podstawy techniki malarskiej, przekazują w dziedzictwo następcom wiedzę malarską.

Aleksander Gierymski walczy przez całe życie o wydobycie na płótnie źródła światła. Kiedy widzi niemożność zrealizowania w obrazie środkami realistycznymi słońca, przerzuca się na sztuczne światło, na latarnie elektryczne, ucieka od dnia do nocy miejskich, do surogatu gwiazd i słońca. Analiza światła doprowadza go do stosowania w obrazie zasad tęczy i kolorów dopełniających.

Na podstawie zdobyczy malarstwa realistycznego śmiało już może rozwijać się liryka. Wartość jej zależna od napięcia uczuciowości duszy artysty, rodzącej w tajemnem złączeniu z naturą harmonie barw i kształtów. A obok niej impresye, szkice, nastroje chwili, notatki z natury wytwarzane przez całe legiony mniej lub

więcej zdolnych niesamodzielnych artystów powodowanych przypadkowością wrażeń.

Jeden szczebel wyżej, a widzimy inny stosunek artysty do natury.

Kontemplacya natury wprowadza artystę w twórczy stan pozwalający mu pokonać ją, wyjść po za nią, stworzyć dla rzeczy „naśladowanej" takie wartości artystyczne, że sprawdzian „natura" przestaje istnieć, a w obrazie jest treść rzeczy mistyczną zadumą artysty otoczona.

Dziwną była chwila, kiedy przed trzydziestu kilku laty odkryto przypadkiem grób kamienny Kazimierza Wielkiego w podziemiach katedry Wawelskiej. Matejko temu obecny w modlitewnem skupieniu rysował czaszkę króla kończącego dynastję założycieli, a budującego podwaliny dla nowego państwa Jagiellonów. Z rysunku tego ulubiony uczeń mistrza Stanisław Wyspiański tworzy symboliczny witraż; światło słońca przez żywy królewski szkielet załamane przedostaje się do świątyni. Linje witrażu Wyspiańskiego to tragicznie twórcza wola artysty, przeciwstawiona lękowi narodu przed życiem, ucieczce w ciszę historyi, cofaniu się przed trudnościami rzeczywistości w senny tan.

Wyspiański kroczy po drugiej linji rozwoju sztuki polegającej na przetwarzaniu, na deformacji rzeczy widzianych, na nadawaniu im z głębi osobowości artysty charakterystycznych form tworzących sobą żyjący styl. Silna wola Wyspiańskiego i natura witrażu wymagająca zdecydowanej linji złączyły się ku wytworzeniu dzieł artystycznych stanowiących nowe przęsło w budowie stylu swojskiego.

Kompozycya dekoracyjna nabywa równorzędnej war-

tości z obrazem, a kompozycya historyczna szuka wielkich płaszczyzn wewnątrz gmachów, obleka się w formę dekoracyjną, wchodzi w symbiozę z architekturą. Obraz historyczny w rodzaju matejkowskim staje się anachronizmem nie tylko ze względu na formę zewnętrzną, lecz przedewszystkiem na niemożność przystosowania dekoracyjnie myślącej duszy artysty do warunków malowania obrazu.

Malarz, którego fantazya wije się po przestrzennych płaszczyznach urojonych świątyń i zaludnia je malarskiemi wizyami stylizowanych ornamentów, kwiatów, zwierząt i ludzi, którego koncepcje artystyczne związane są z architekturą, a harmonie kolorystyczne przepajać mają atmosferę wnętrza oświetlonego zdecydowanem przezeń światłem; malarz ten z konieczności tylko ucieka się do obrazu jako jedynej na razie formy swej twórczości i uważa to za zło konieczne. I oto staje malarstwo polskie przed społeczeństwem i żąda gmachów, świątyń i budowli w którychby mogło rozwinąć swe tęczowe skrzydła i ponieść w barwne przestwory harmonji dusze ludzkie, skąpać je w odradzających źródłach sztuki i nadać im hartu do ciężkich prac codziennego życia.

(d. c. n.)

FRANCISZEK SIEDLECKI.

TABULA RASA 卐 卐 卐 卐 卐

卐 卐 卐 卐 卐 卐 (SZKIC O TEATRZE W POLSCE).

卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

Mówić o Teatrze w Polsce, a w szczególności w Warszawie, jest zadaniem daleko bardziej wdzięcznem, aniżeli by się mogło zdawać tym, co jak mi dobrze wiadomo, uciekali z Teatru Wielkiego po pierwszym akcie „Snu srebrnego Salomei“ lub „Romeo i Julii“, a siedząc w pierwszych rzędach „Rozmaitości“ na „Godach życia“ wzdychali tak żałośnie, że aż kołysał się malowniczy Giewont wraz z resztą rozechwianej dekoracyi. Ten optymizm swój opieram na uczuciu specyficznej tkliwości, jaką może wywołać w przedwcześnie zgrzybiałym filantropie widok bezdomnego, rozczochranego i nieumytego sieroty, co się garnie do jakiejś pracy, a nie posiadając żadnych prawie kwalifikacyj, prócz dobrego nazwiska z rozbitków-pradziadów, gotów jest „wziąć się do wszystkiego“...*) Doprawdy, teatr polski ma świetne wczoraj, świetniejsze onegdaj, ale nie ma żadnego dzisiaj — bo i cóż decyduje o jego fizyognomii? Chciejmy więc wierzyć, ogniskując twórcze siły polskie, że teatr nasz ma przed sobą świetne jutro...

Tylko w to wierząc możemy wogóle przystąpić do mówienia o Teatrze w Warszawie. Nie chcę i nie będę operować abstrakcyami; o ile w „Sztuce“ będzie mowa na tem miejscu o różnych teoryach scenicz-

*) Kolega tego sieroty o gorszych skłonnościach wrodzonych już się wziął... do „Illusionu“.

nych, czyli o różnorodności praktycznego rozwiązania utworów dramatycznych na scenie, czytelnik przekona się, że nie będzie to jątrzenie wyobraźni owocem zakazanym, lecz że wszelkie reformacyjne szczepienia, dzięki którym tak pysznie zakwitły znane w Niemczech i w Rosyi teatry, możliwe są także u nas, że próby ich nie zawodziły, że mamy własnych artystów-ideologów, a przedewszystkiem własny nowożytny repertuar, potrzeba zatem tylko pracowicie „chcieć".

Chwila obecna w rozwoju Teatru jest naogół biorąc chwilą krytyczną. Idea stylizacyi, tak ciekawie rozwinięta przez Craig'a, Reinharda, G. Fuchsa, Stanisławskiego, Mejerholda, a więc głównie w Berlinie (i Monachium) oraz w Moskwie (i Petersburgu), doprowadziła w swych najdalszych przeciw realizmowi wycieczkach do teatru istot nieruchomych, których życie na scenie uwarunkowano kilku symbolicznymi gestami, do teatru maryonetek. Dziwna ironia losu chciała, że dosyć udatne próby takiego Teatru podjęto obecnie w Warszawie, w mieście, którego wszystkie „prawdziwe" i „wielkie" sceny do dziś dnia nic w kierunku stylizacyi nie poczyniły. Sceny te liczą spory zastęp wybitnie utalentowanych sił aktorskich, ale siły owe, uprawiając odziedziczoną z dziada pradziada realistyczno-patetyczną rutynę, wcale nieźle ponoć się czują w otoczeniu najbanalniejszych dekoracyj, na „stylowych" kanapkach, zwłaszcza przy spożywaniu tekturowych befsztyków w sztukach tak zwanych „rodzajowych", par excellence współczesnych. Takie sztuki nadewszystko lubi publiczność, której, wobec absolutnego niemal braku u nas opinii kształcącej, nie możemy zbytnio winić za to, że ze szczególnem nabożeństwem

i bezlitośnym krytycyzmem poluje w pewnych momentach na zdemaskowanie „fizyki scenicznej“, której iluzyonizm pojmuje jako kompleks „kawałów“. Dla tłumu bowiem treścią sztuki scenicznej pozostała najprzewrotniej pojęta prawda dnia powszedniego; dlatego to obchodzi go w pierwszym rzędzie, jak ten lub ów aktor w danej sytuacyi „da sobie radę“; ulubieńcami publiczności są przeważnie aktorzy, którzy doprowadzili rutynę do pozorów improwizacyi. Nie wymieniając narazie nazwisk, ze smutkiem stwierdzamy fakt, że właśnie ci najzdolniejsi artyści, na których koncentruje się nieraz cała uwaga widzów, zapełniających kilkadziesiąt razy teatr na „rodzajowej“ sztuce, ci właśnie wirtuozi gry realnej najtragiczniej zapoznają cele teatru, nie zdając sobie sprawy z tego, że teatr nie jest warsztatem podrabiania rzeczywistości, lecz symbolicznie wyrażoną sferą przeżyć autora i widza, inaczej mówiąc, że jest on wyrazem duszy człowieka, źródła wszystkich symbolów. To stawia go poza fotografią, kinematografem, gramofonem, oraz naiwnym realizmem. Sama natura teatru jest już symboliczną i irrealną, skoro zamyka obramieniem paru aktów i paru godzin tragedyę duszy. *Dlatego formy ujawnienia tej natury nie mogą żadną miarą być zapożyczane z życia nie przełamanego w pryzmacie twórczej wyobraźni.* Sięgając w tym pobieżnym „programowym“ szkicu ideologii, której wykład pragnąłbym w najbliższej przyszłości usystematyzować, nieco naprzód — pozwolę sobie na poparcie powyższej tezy uwagą, iż wszystkie *symboliczne* dramaty (np. Maeterlincka „Ślepcy“, „Wnętrze“, dramaty symboliczne *literacko*) nie da-

ją się już symbolizować na scenie „do potęgi“ i wymagają znów wyższej techniki w hierarchii stylu, jak np. teatru maryonetek, do którego Maeterlinck świadomie dążył, pisząc dla sceny realno-symbolicznej dramaty zgoła już odmienne, jak np. „Monna Vanna“.

I jeszcze zapominają nasi artyści o tem, że teatr jest ogrodem, w którym mogą i powinny się zakwiecić wszystkie twórcze pomysły wszystkich współdziałających w wystawie „granej“ sztuki artystów, a więc nie tylko aktorów: że ogród taki cudowny oczarowałby oczy widzów najpotężniej wtedy dopiero, gdyby im, widzom, dano możność twórczości własnej, indywidualnej, a współmiernej z tem, co się dokonywa na scenie...

Dziś zarówno wybór sztuk, jak ich interpretacya realistyczna na scenach polskich pozbawia wrażliwszego widza najdroższego dlań daru osobistego, właściwego wszystkim ludziom — daru wyobraźni. Dziś przeciętny inteligentny widz, wytężając myśl krytyczną za logicznym wątkiem dramatycznej akcyi nie znajduje okazyi by do przedstawianej dlań sztuki coś... dosztukować. Stwierdzając to ze smutkiem, czuję, że gdy mowa o zaprzepaszczeniu wyobraźni widza, jeszcze goręcej należało by się ująć za niewolnictwem aktora. Autorzy sztuk dramatycznych przyzwyczaili się do bezwzględnego rozkazywania rzeszy aktorskiej w scenaryuszach literackich, a równie chętnie gospodarowali by i za kulisami. Jeżeli jednak któryś z poetów wspaniałomyślnie oznajmi urbi et orbi, że „rzecz dzieje się w duszach ludzkich“ (np. u nas Przybyszewski w „Złotym runie“), to podobna uwaga wcale i w niczem nie wyzwala aktora, dopóki istnieje pewien ściśle

określony tekst literacki. Tu sięgnąwszy, wkraczamy już w najodleglejsze, najgodniejsze zarazem wyzwolonego aktora regiony, w czasy, gdy stanie się on poetyckim współtwórcą dramatycznej idei autora. O tak pomyślanym typie przyszłej „comoedia del arte“ postaram się pomówić w jednym z dalszych szkiców. Już dziś jednak warto zwrócić uwagę na pewną niekonsekwencję wspomnianej powyżej gołosłownej cytaty z nagłówka „Złotego runa“, jeżeli chodzi o stosunek do danej sztuki aktorów. Być może, że za pomocą tego jednego frazesu dramat zyskuje na wartości metafizycznej (sądzę, że nie; należy zresztą „Złote runo“ do najmocniejszych rzeczy w naszej literaturze), ale komentator zapomniał, że „dusze“ zamieszkują w ciałach aktorów. Więc dążąc do wyzwolenia idei utworu z czasu i przestrzeni, w konsekwencyi powinien był wyzwolić aktorów ze wszelkiego musu formalnego; to znaczy: pozostawiwszy im sprawę wcielenia tej idei drogą suggestyi logicznej w głównym zarysie akceptowanym przez dane indywidua odtwórcze, we wszystkiem innem, a więc w szczegółach rozwijanej akcyi dać zupełną swobodę postępowania i t. d.

Cały szereg reform pierwszorzędnych wypłynąć musi w przyszłości z nowej ideologii scenicznej. Zmienić winna się sztuka aktorska; rytmika niemiłosiernie dziś szarżowanych ruchów; wszelkie zespoły większe, dla których dziś brak inteligentnych statystów; fatalna wreszcie dykcya melodramatyczna, właściwa zarówno części starszego personelu, jak większości sił na prowincyi. Cała zatem technika aktorska winna znaleźć dla swego odrodzenia swobodną pracownię, gdzie kie-

rownikom o kulturze specyalnej i wszechstronnej powierzonem zostanie kształcenie nowego pokolenia. Takie szkoły istnieją przy teatrach postępowych u innych narodów. Trudno uwierzyć, aby u nas brakło środków i — człowieka.

Kształcenie masy aktorskiej nie będzie polegało na wtajemniczaniu w arkana sztuczek niezawodzących, gdy chodzi o wyciśnięcie łzy na rumiany policzek orędowcy cnoty, albo o przeszycie bohaterskim dreszczem rojącego „sny o potędze" siódmoklasisty. Oczywiście, sztuk w rodzaju tych, jakie się obecnie trwale trzymają na repertuarze „Rozmaitości", jak „Rozbitki", „Panna Maliczewska", nie wyłączając „Rusałki", reformą żadna nie obejmie, przynajmniej nie prędko, bo treścią i całą koncepcyą literacką odpowiadają one w zupełności panującej ideologii scenicznej, choć na przykładzie „Rusałki" można byłoby klasycznie zademonstrować pomieszanie wyobrażeń koncepcyi realnej i symbolicznej.

Na tem miejscu omawiać będziemy zasadniczo, o ile możności z różnych stanowisk, wszelkie sztuki, wchodzące do repertuaru teatrów polskich dramatycznych, jeśli tylko wartość ich literacka na to pozwoli. Skreślając tych słów kilka programowych, bynajmniej nie mam zamiaru uprzedzać faktów i wyczerpywać do dna studnię polemicznych argumentów, które już dziś, po paromiesięcznem zaledwie wznowieniu znajomości z teatrami warszawskimi nasuwają mi się pod pióro. Chciałbym — w imię podjętego budownictwa i dla dobra konkretnie zakreślonych przez siebie celów, aby się krzyżowały, walczyły i podnosiły z upadku problematy twórcze, zapewniające pięknu w teatrze jego

wieczność. Może dopiero wówczas nadejdzie chwila pomyślna dla rozpoczęcia opowieści o odradzającym się polskim teatrze na kartach białej księgi, którą bierzemy niniejszem do ręki: tabula rasa. Gdyby tak ryczałtowe negowanie całej dotychczasowej historyi teatru w Polsce nazwał ktoś conajmniej fanatycznym modernizmem, odpowiedzieć bym mógł słowami Nietzschego: „by módz jakąś świętość wznieść, trzeba jakąś świętość zburzyć. To jest prawo — pokażcie mi wypadek, w którym by się nie spełniło“.

Ale nietylko tak odpowiem. „Sztuka“ postawiła sobie za wzniosłą dewizę nienawiść frazesu. Postaramy się poddać dyskusyi wyczerpującej i sięgającej filozoficznych sztuki zasad wszystkie zwalczane przez nas zaśniedziałe teorye i praktyki, wszystkie błędne, a historycznie uświęcone ideały, co gwałcą dziś syntetyczne pojęcie o wspólnej służbie sztuk poszczególnych jednemu celowi. Teatr, jako arena tej syntezy, winien być probierzem całokształtu kultury artystycznej danego narodu. U nas jest świadectwem niepogłębionej u fundamentów kultury aktorskiej. Więc wskrzesić i ukazać najszerszym warstwom w całym blasku swoistej kultury cele Teatru — oto najpierwsze zadanie.

TADEUSZ NALEPIŃSKI.

ZNACZENIE MUZYKI W DRAMATACH WYSPIAŃSKIEGO

Artystyczna organizacja Wyspiańskiego była jedną z tych, które zjawiają się od czasu do czasu na horyzoncie Sztuki — koncentrując w sobie wszystkie piękna objawy. Pęd jego sił twórczych objawiający się początkowo najsilniej linją i barwą, zapragnął z czasem znaleźć swój wyraz we wszystkich dziedzinach sztuki. — Jako ideał marzyła się mu prawdopodobnie wszechstronna twórczość mistrzów z czasów odrodzenia, której najwspanialszym przykładem był Leonardo da Vinci — a której w XIX wieku dosięgał prawie Ryszard Wagner, jedynie pod względem malarskim nie wyrobiony technicznie, lecz odczuwający fantazyą barwy i kształty.

Zbliżoną do Wagnera organizacyą był Wyspiański — tylko że u niego tym niedoborem technicznym — jeżeli się tak wyrazić można — była muzyka.

A jednak muzyka — tak jak u Wagnera malarstwo — była jednym z najważniejszych, a może i najważniejszym czynnikiem, który w nim obudził twórczość dramaturga. Wyspiańskiego talent i duch rozwijał się i rozkwitał w Krakowie, który w owych czasach — podobnie zresztą jak i dzisiaj pod względem muzycznym nie dawał wiele; a wiadomo co znaczy i jak na rozwój właściwości talentu wpływa obcowanie z daną sztuką od lat najmłodszych; Wyspiański urodzony w Długoszowym domu pod Wawelem żył Krakowem, jego średniowiecznymi i renesansowymi zabytkami —

rozwijał się w atmosferze Matejkowskiej i Grottgerowskiej sztuki, dramatów Szekspira, tragedyi Słowackiego, komedyi Fredry i wogóle tak dobrego wówczas teatru krakowskiego za czasów Koźmiana; muzyki do której czuł pociąg ogromny — wobec braku symfonicznych koncertów i opery — słyszał bardzo mało; stąd zamiłowanie jego pozostawało długo w stanie biernym, nie miało odpowiedniej atmosfery, którą dał mu dopiero Paryż. Wyspiański z ogromnym zapałem i zaciekawieniem — o czem świadczy jego bardzo obfita z owych czasów korespondencya — zaczął wchłaniać w siebie muzykę; od piosenki ulicznej i kabaretowej do arcydzieł symfonicznej a zwłaszcza operowej muzyki interesowało go wszystko—i odpowiednie budziło w jego duszy echa. Opera zaś stała się istotną pobudką jego dramatycznej twórczości; pierwsze próby jego prac dramatycznych były tekstami do oper. Zjawisko charakterystyczne: atmosfera teatru krakowskiego w latach pierwszych twórczych objawień przyczyniała się tylko do rozwijania fantazyi malarskiej — a dopiero muzyka obudziła w Wyspiańskim zmysł teatralnej twórczości.

Wyspiański czuł zawsze doskonale jaką powinna była być muzyka wyrażająca to co obmyślał — brakło mu tylko technicznych sposobów na napisanie tego co sobie muzycznie wyobrażał.

Po kilkunastu próbach libret operowych jak: Danaidy, Hiob, Daniel, Wanda (prototyp Legendy) napisał Fantastów, gdzie rola muzyki zaczęła już schodzić z pierwszorzędnego miejsca; „Fantaści“ utwór dziś zdaje się zupełnie nie istniejący, bo w owych czasach już zniszczony przez autora, był pierwszym etapem

dramatycznej twórczości Wyspiańskiego — etapem poprzedzającym bezpośrednio napisanie Legendy i Warszawianki. Mimo wyzwolenia się zupełnego z ram librettowych pomysłów — muzyka nie przestała być w dziełach Wyspiańskiego czynnikiem dominującym, a w wielu wypadkach jest ich nieodłączną częścią.

Powoli też realizowało się w twórcy poczucie muzyki w dramacie; z jednej strony muzyką stawał się sam rytm wiersza, rytm słów, nawet w prozie dźwięczący pewną melodją, z drugiej — powstawały przy tworzeniu dramatów momenty, w których muzyka stawała się niezbędnem dopełnieniem. I wtedy lubił sam ową muzykę dotwarzać; nie bardzo dbał o jej specjalną oryginalność — chodziło o to, aby oddawała nastrój chwili; w innych wypadkach dawał muzykę jedynie literackim obrazem — zostawiając pole fantazyi czytelnika słuchacza.

I tak w Meleagrze opisuje muzykę „gwaru wieczornego“ (str. 7) w sposób nadzwyczaj plastyczny:

„Chór zasiada na stopniach pałacu po dwu stronach kamiennego stołu ofiarnego; słychać muzykę szmeru wieczornego idącą z ogrodu od oliwek, cyprysów i laurów; na topolach w chłodnym powiewie drżą liście i szeleszczą, od pól brzęczy chmara koników polnych, chrząszcze żuczą fruwające... przechodzi stado kóz beczących i gra pastuch na składanych piszczałkach; zdaleka od jeziorek żegoczą i kruczą żaby i gonią iskierki świecących robaczków, słowik śpiewa przez chwilę sam... gdy milknie rozpoznaje się plusk fontanny w ogrodzie... zwolna czar rytmiczny się przygłusza i mąci i wstaje...“

Wyspiański dotwarzając sam muzykę do pewnych

momentów swoich dramatów nucił na pół oryginalne, bo często pełne reminiscencyi melodye, w danym momencie jednak zupełnie odpowiednie; takie melodje znajdują się w „Legendzie“ gdzie sam rytm wiersza i jego rodzaj dopraszały się o muzykę; wogóle Legenda jako jeden z pierwszych utworów, ogromnie wyraźnie wykazuje z muzycznego ducha powstałe pochodzenie; cała scena końcowa Legendy jest jakby muzycznie pomyślaną w mięszaniu się tematów pieśni zagłuszających jedne — drugie i w odzywającym sie perjodycznie kuszącym śpiewie rusalnym. —

Prostą a bardzo silną jest rola muzyki w Warszawiance i Weselu; motyw chłopskiego marsza z pod Krakowa, na którego tle rozwija się końcowa scena sztuki, grany przez Chochoła, jest w dostosowaniu swem do nastroju więcej wart od wielu oryginalnych kompozycyi do sztuk teatralnych.

Również scena klątwy śpiewana przez chór w Bolesławie Śmiałym mimo swej pospolitości od strony czysto muzycznej, duże swym skandowanym charakterem robi wrażenie.

Tak więc późniejszy dramat Wyspiańskiego wywołany jak chcą niektórzy — malarskiemi jego wizyami, jest niemniej prawie jak z malarstwem zespolony z muzyką.

W momentach gdzie jej obecność faktycznie nie jest konieczną — objawia się muzyka rytmiką słowa tak brzmiącą np. przepysznie-marmurowo w strofach pogrzebu Kaźmierza Wielkiego.

Dorabiać do dramatów Wyspiańskiego muzykę w sensie operowym nie uważałbym za stosowne — nie dla-

tego że on pod koniec swego życia zmienił pewne pojęcia tyczące np. współczesnej roli orkiestry w dramacie muzycznym, ale dlatego, że wytłomaczenie muzyczne przez kogoś obcego jego języka dramatycznego byłoby niesłychanie trudne — może zbyteczne.

Problem zrozumienia ducha muzyki w dramatach Wyspiańskiego jest zresztą jasny: — zstąpienie do źródeł języka ludu — które stworzyło język w Weselu — poddało równocześnie nutę Chochoła... Imitacya — bezwiedna zresztą — jakiejś starej pieśni kościelnej stworzyła nutę klątwy w Bolesławie Śmiałym... Jeżeli by kto chciał pisać muzykę pod utwory Wyspiańskiego w jego duchu, to tylko w tym sensie; chyba że pragnie tworzyć zupełnie indywidualnie pod natchnieniem dzieł Jego...

Muzyka, która miała takie znaczenie w kierunku pobudzenia twórczości dramatycznej Wyspiańskiego w późniejszych jego utworach objawia się jako czynnik składowy jego dzieł scenicznych, mających być typem tej jednej jedynej niepodzielnej sztuki, którą on ubóstwiał, a która była jego życiem; sztuki, która nie jest ani malarstwem, ani literaturą, ani muzyką, lecz której przejawy łączą się w wspólny wyraz najwyższego hasła — syntezę wszechsztuki, hasła któremu na imię: „Piękno“. —

HENRYK OPIEŃSKI.

KRONIKA 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

Z LITERATURY POLSKIEJ.

WACŁAW BERENT. „OZIMINA". Warszawa, wyd. Jakóba Mortkowicza. Powieść ta, która w swych najgłębszych posadach jest porachunkiem sumienia naszego społeczeństwa, wywołała w prasie zrazu ostrożną i nieśmiałą, zaś potem śmielszą i coraz złośliwszą napaść, przedzierzgającą się w końcu w t. zw. nagankę. To też za konieczne uważamy w najbliższych zeszytach zastanowienie się krytyczne nad treścią tej — niepodobnej do innych — powieści.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI. „GEST WEWNĘTRZNY". Poezje. Warszawa 1911 r. Nakład autora. Ta książka wywołała w prasie—nie dziwmy się—tylko milczenie. Poezje nieznanych autorów (a zwłaszcza tak głęboko przeżyte i wytrzymane w formie — aż do niepopularności) u nas nie znajdują nakładców i... krytyków. Postaramy się i do tej książki powrócić jeszcze.

JAN LEMAŃSKI. „KAMIEŃ FILOZOFICZNY". Lwów, 1911. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa—E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł). Str. 216.

W jednotomowem dość starannem wydaniu ukazał się niedawno zbiór nowel, satyr i grotesek Jana Lemańskiego. Tytuł — „Kamień filozoficzny." Treść — jakby jeden z porachunków artysty z duszą przesądów, błotkiem, które miłośnie a zachłannie chce utulić wszystkich, których się boi, na których czyha cierpliwie.

I jakby znajduje artysta swój „Kamień filozoficzny"... Wiedział i widział, jako ostrze przeszedł przez naturę rzeczy, a oto ostatniemi słowami kreśli dzieje, streszcza i orzeka w imię całości.

Teraz więc powiedzmy, jak chcielibyśmy „Kamień filozoficzny" (str. 209 książki) rozumieć.

W pewnej chwili, woda, która przeszła uprzednio różne formy tęskniącego bytowania, powróciła do kamiennego spokoju — skamieniała. Ale nie będzie to kamień, który leżał kiedyś na dnie potoku. Filozofja tamtego polegała na woli chcenia. Wola ta stwarzała stany, w których się tęskni jako płomię o coraz silniejszym żarze.

Od płomienia cofa się wszelka taka woda, która jest wodą i będzie, gdyż taką się urodziła. Ale woda owa czeka, aby tęsknota, która gorzeje w takiej lub innej formie bytowania, stała się znowu spokojnym kamieniem. Wtedy bowiem stoczy nań muł, inaczej zawlecze go swoją własną podścielą.

Musi więc kamień wyłonić z siebie istotę wszystkich swoich przemian.

To będzie duchem kamiennym. Duch zaś owy rozpostrze się na szczycie góry skąd widać ziemię i wszelkie twory.
Tak stanie się wiedza spokoju, gdy o formie jego zapomni dawno bieg potoku.

JÓZEF WEYSSENHOFF. „HETMANI". Warszawa, 1911 r. Nakład Gebethnera i Wolffa.
W zgiełkliwem ubóstwie życia naszego literackiego poszukiwanie i zaznaczanie zjawisk donioślejszych wymaga... latarni Dyogenesa. Ostatnia powieść p. Weyssenhoffa p. t. „Hetmani" wywołała gromadny poklask całego hufu nieświadomych lub obłudników. „Hetmani" to jeszcze jedna próba zbanalizowania w stylu, w języku i w pomyśle powieści ojczystej, która już — niestety — w osobach Żeromskiego, Berenta, Micińskiego, a czasem i Reymonta zaczęła wznosić oczy ku niebezpiecznym wyżynom i zaprawiła skrzydła do karkołomnych lotów!.. p. Weyssenhoff wraca do powieści „klasycznej" — to znaczy takiej, która się łatwo pisze, łatwo czyta, łatwo zdobywa rozgłos, łatwo trafia do przekonania ludziom bez przekonań, a jeszcze łatwiej — zapomina się raz na zawsze.

JÓZEF WEYSSENHOFF. „EROTYKI". Wydanie ozdobione rysunkami Henryka Weyssenhoffa. — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp., 1911. Tom wierszy, zatytułowany jak wyżej — chyba dla zaostrzenia apetytu czytelników miłujących poezję zagadnień seksualnych, a może przez pomyłkę — mieści w sobie wśród wielu utworów rymowanych, fraszek, tłomaczeń, parafraz i t. d... kilka (na szczęście zaledwie kilka) „erotyków". Do takich możnaby zaliczyć wiersz, p. t. „Dzień jaki będzie?" (str. 50) — mimo całą jego platoniczną niewinność. „...Ty mi rzucisz oczyma wdzięcznemi pocałunek błękitny, jak klęknę u twych stóp na puszystym mchu ziemi i opowiem ci sny moje piękne.

Na str. 51 autor już opiewa — „Dzień jaki był". „...Przyjechałem nareszcie. Miła wieś jest po mieście, park rozkoszny, choć gryzą komary; ładny pałac ma pani, kuchnia też się nie gani. Ton tu dworski, wykwintny i stary.
Na str. 37 p. Weyssenhoff opisuje poetyczny sen, który miał „po wieczorze przecierpianym w jej domu..." (Widocznie, działo się to, niestety, jeszcze w mieście, nie u pani w pałacu z nienaganną kuchnią). Na str. 31 zaś, autor—i ona—gwarzą (czas poobiedni): „tak cicho i wesoło, tacy sami jedni, mniej mówiąc niż czytając wzajem oko w oku". O erotyczną nutę trącają również niektóre fraszki. np. „Penitentka": („z twojej sypialni płyną dziś w niebiosy jakby kościelnych trybularzy wonie", str. 97), i oczywiście jeden z „Siedmiu grzechów głównych", w którym (str. 131): „przez mgłę lekką Idealu wypieszczona pachnie skórka", gdy nadomiar złego „wiew spódniczki jej wiośniany grzech zapachem swym rozszerza"...

PRZEGLĄD CZASOPISM.

„KWARTALNIK MUZYCZNY". Organ „Sekcji naukowej" przy Tow. Muzycznem w Warszawie, poświęcony historji, estetyce i teorji muzyki, wychodzi w I-ym miesiącu każdego kwartału. Redaktor Roman Statkowski; kierownik działu estetycznego Felicjan Szopski; kierownik działu historycznego i wydawca Henryk Opieński.

„RUCH FILOZOFICZNY" wychodzi w połowie każdego miesiąca we Lwowie, pod redakcją prof. dr. Kazimierza Twardowskiego i komitetu redakcyjnego. Nr. I (z dnia 15-go stycznia) zawiera: Henryka Struvego „Słówko o filozofji narodowej polskiej". Sprawozdania. Przegląd czasopism. Zapiski bibliograficzne i Kronikę. Nr. II (z dnia 15 lutego): R. Radziwiłłowicza „Słownik psychologji i nauk pokrewnych". Sprawozdania i zwykłe działy.

„PRZEGLĄD KRYTYKI Literackiej i Artystycznej" — dwutygodnik wychodzi w Warszawie, pod redakcją Józefa Rozprzy-Krobickiego. Nr. 38 (z dnia 16 lutego) zawiera: Bolesława Leśmiana „Artysta i model", Henryka Juszkiewicza „Krytyka literacka we Francji" (dokończenie), Andrzeja Baumfelda „O mesjanizmie polskim", przedruki z Oziminy Wacława Berenta i in.

„MERCURE DE FRANCE". Red. Alfred Vallette. Nr. z d. 1 b. m. zawiera m. in. poezje A. Coullet i C. Fr. Caillard'a, artykuły: „Rimbaud chez les Parnassiens: Sa liaison avec Verlaine", „Moréas „dévoilé", „L'art graphique et figuratif de Monsieur Ingres", „Flaubert à Chenonceaux", — oraz w przeglądzie dwutygodniowym sprawozdania Jana i Remy de Gourmont'ów, Quilard'a, Rachilde'a, de Bury, André Fauntainas'a, Eckhoud'a i in.

„LA REVUE". Red. J. Finot. Nr. z d. 1 b. m. zawiera m. in. „Richard Strauss et sa dernière oeuvre" (opera „der Rosenkavalier") p. J. Chantavoine'a.

WYDAWNICTWA NADESŁANE DO REDAKCJI.

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa w Warszawie, — Kraków, G. Gebethner i S-ka:

Gabryela Zapolska. „KAŚKA KARYATYDA". Powieść współczesna, wydanie II, 1910 r.

— „O CZEM SIĘ NIE MOWI". Pow. współcz., siódmy tysiąc 1909 r.

Marja Konopnicka. „ITALJA". Wydanie drugie. Warszawa, 1911 r.

Dr. Fr. W. Foerster (przekł. Marji Łopuszańskiej). „SZKOŁA I CHARAKTER". Warszawa, 1911.

Wydawnictwa Tow. Akc. S. Orgelbranda i S-ów.

Jan Lemański. „BAŚŃ O PRAWDZIE". Nowy zbiór piosnek, bajek, poematów, baśni satyrycznych, melodji i pieśni. Warszawa, 1910.

Zygmunt Różycki. „Wybór Poezji", z przedmową Kazimierza Tetmajera. Warszawa, 1911.

Wydawnictwa księgarni S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.

A. Grzymała-Siedlecki. „GALERJA MOICH BLIŹNICH". Nowele i Fraszki. Kraków, 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Wydawnictwa księgarni St. Sadowskiego.

Tadeusz Jaroszyński. „JAK PATRZEĆ NA DZIEŁA SZTUKI". Warszawa, 1910.

Wydawnictwa „Książnicy Literackiej" (pod red. St. Sierzputowskiego).

Nr. I. Adam Mickiewicz. „Pod Stoczkiem" (skonfiskowany).
„ II. Andrzej Niemojewski. „Płanetnik".
„ III. Zofja Rygier-Nałkowska. „Noc Podniebna".
„ IV. Edward Słoński „Matka".
„ V. Michał Marjan Bożawola-Poznański. „Cabaretiana".

KONKURS NA OBRAZ HISTORYCZNY.

Komitet Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie ogłasza konkurs na obraz olejny, osnuty na tle dziejów Polskich.

Komunikat przesłany do dzienników wyjaśnia intencje ofiarodawcy w następujących słowach: „pan... mecenas Leon Papieski, w obywa- „telskim poczuciu konieczności wskrzeszenia malarstwa histo- „rycznego, które mając tak wspaniałą tradycję w matejkowskiej twór- „czości, ze śmiercią mistrza najzupełniej u nas znikło"...

Trudno o większy galimatjas wyrazów, kłócących się ze sobą, a zapewne i z dobrą wolą ofiarodawcy. Jeśli malarstwo historyczne ze śmiercią mistrza znikło, to nie można mówić o tradycji, bo jej niema. Malarstwa historycznego nie może żaden mecenas wskrzesić, chociażby nie tysiąc rubli lecz miljon na ten cel ofiarował, malarstwo bowiem zależne jest od malarzy i od „ducha czasu", który pędzi nas w nowe życie, w szukanie nowych form artystycznych na utajone, z głębi życia płynące tęsknoty: oglądamy się w przeszłość, kiedy nam chochoł na skrzypeczkach gra. Nie wskrzeszać nam stare formy, ale stwarzać nowe należy. Z obrazem historycznym już przed 30 laty Witkiewicz się rozprawił, a do jego wywodów nic dodawać nie potrzeba.

Malarstwo historyczne Kaulbach'ów, Delaroche'ów i Matejków zmarło jako forma artystyczna. Tak jak zmarła forma dramatu historycznego Szujskich, a zrodziła się nowa z Wyspiańskiego w Bolesławie Śmiałym.

WYSTAWY DZIEŁ SZTUKI.

WARSZAWA.

Wystawa kółka akwarelistów — otwarcie d. 22 marca.
Wystawa konkurs. im. Kurjerowa — otwarcie d. 22 marca.

KRAKÓW.

Wystawa obrazów i rzeźb „Tow. artystów polskich Sztuka w Krakowie“, od 15 marca do 1 maja (Pałac sztuk pięknych).

PARYŻ.

WYSTAWA DOROCZNA TOWARZYSTWA ARTYSTÓW FRANCUSKICH (Grand Palais des Champs-Elysées), od 30 kwietnia do 30 czerwca 1911 r.

GALERJA GEORGES PETIT. Od 9 marca do 4 kwietnia.—Wystawa Malarstwa i Rzeźby. — Prezydent A. Rodin.
5 — 25 kwietnia. — Wystawa pastelistów francuskich. — Prezydent Albert Besnard.

RZYM.

Międzynarodowa Wystawa Sztuki. Od marca do listopada.

MONACHJUM.

Wystawa związku mal. monach.: „Secesja“: 1 marca—30 kwietnia.
Międzynarodowa wystawa dzieł sztuki (Königsplatz): od 15-go maja do końca października.
Doroczna Wystawa w Glaspalast — od 1 czerwca do 31 paźdz.

WIEDEŃ.

Wystawa jubileuszowa Tow. Art. Wied. od pocz. marca do końca maja.
„ związku mal. austr. „Secesja“ od marca do czerwca.
„ wiosenna w Hagenbundzie od kwietnia do czerwca.

BERLIN.

Wielka wystawa Berlińska 1911 r.—od 29 kwietnia do 1 października.
Wystawa „Secesji“ berlińskiej (Kurfürstendamm 208/9) — od kwietnia do jesieni.

KOMITET REDAKCYJNY: Alfons Gravier, Henryk Juszkiewicz, Jan Rundbaken, Fr. Siedlecki, Aleksander Szczęsny, Karol Szymanowski.

REDAKTOR Henryk Juszkiewicz. WYDAWCA St. Piaskowski.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.